ŚWIATOWID

Nr. 9/498 ROK
24 LUTEGO 1934
NUMER ZAWIER
24 STRON DRU
W CZECHOSŁ
WACJI Kc. 2·20.
CENA 60 G

POLSKA PRZEDMURZEM POKOJU



ZGON KRÓLA BELGÓW.

Królowi Belgów — demokratycznemu królowi w demokratycznem państwie — niewiele pozostawało czasu na życie i rozrywki osobiste. Jego prace społeczne i polityczne musiały zawsze iść przed zagadnieniami życia prywatnego.

Ale król Albert nie byłby wspaniałym przykładem człowieka prawdziwie nowoczesnego, gdyby nie umiał znaleźć sobie jednak chwil wolnych, w którychby miał prawo żyć dla siebie, jak każdy inny śmiertelnik.

Król Albert miał w życiu osobistem jedną namiętność, alpinizm, i specjalnie ten jego odłam, który nazywamy sportem wysokogórskim. Król Albert był świetnym sportowcem i — sportowcem w tem najszlachetniejszem znaczeniu, w którem na szalę walki z przeciwnościami nie waha się położyć nawet własnego życia.

Turystyka wysokogórska, to czynność nieobca wielu głowom koronowanym. Ze współczesnych wystarczy wymienić choćby obecnego papieża Piusa XI, który w młodości z zapałem uprawiał alpinizm i zaznaczył się też jako pisarz alpinistyczny. Wystarczy również przypomnieć piękną postać Ludwika Amadeusza Sabaudzkiego, księcia Abruzzów, bliskiego kuzyna królów hiszpańskiego i włoskiego, który po całym świecie roznosił sławę włoskich górskich podróży egzotycznych.

Ale w tej rodzinie alpinistycznych dynastów król Albert wyróżniał się zarówno wspaniałym rozmachem sportowym, jak i konsekwentnem upodobaniem w skalnych spinaczkach górskich. Nie nęciły króla żadne, choćby najbardziej egzotyczne, ale technicznie łatwo dostępne góry. Jego terenem działania były świetne urwiska Alp Wschodnich, zwłaszcza Dolomity i Kaisergebirge, ów raj turysty skalnego. Tu mógł król Belgów dowoli uprawiać swój alpinizm akrobatyczny i dojść stopniowo do rezultatów, stawiających go w rzędzie najbardziej sprawnych i wybitnych alpinistów europejskich.

Lata mijały, a król nie tracił swej energji i wciąż nowe ściany i granie zdobywał w zawziętej i rycerskiej walce. Nie umiały go pokonać ani dzikie przepaście, któremi wdzierał się na wierzchołki, ani nagłe kurniawy, lawiny, biwaki skalne... Kroniki alpinistyczne corocznie notowały jego nowe triumfy, i jeszcze w ubiegłym roku mogły wymienić taki sukces 58-letniego alpinisty, jak przejście południowo-wschodniej ściany Fleischbank, równie trudnej jak w Tatrach osławiona południowa ściana Zamarłej Turni, oraz zdobycie tak niedostępnej iglicy jak Rocca Castello w Alpach Kotyjskich.

Do uprawiania alpinizmu skalnego, najtrudniejszego sportu, potrzeba ustawicznego treningu i utrzymywania się w odpowiedniej formie. Urwiste skałki w Ardenach belgijskich — siostry bliźniacze naszych wapiennych skał w Ojcowie, Mnikowie itp. — nieraz widziały rasową, smukłą sylwetkę króla-spinacza, zdobywającego należną zaprawę sportową.

W roku bieżącym król rozpoczął trening wcześniej, niż zazwyczaj. Może obawiał się, że to już ostatnie jego wyprawy i chciał je wyzyskać do ostatka? Poszedł w skały samotnie, w skały — zdawałoby się bezpieczne i dostępne. Ale ironja losu chciała, aby tutaj właśnie odbyło się jego ostatnie pożegnanie ze sportem górskim. Jak niejeden już najlepszy alpinista, zginął król Albert przez jakieś drobne niedopatrzenie, przez jakiś przypadek, który tego świetnego spinacza dosięgnął na lichej skałce śródleśnej. Ale jego imię sportowe związało się z olbrzymim światem Alp i pozostanie w nim nazawsze jako przykład dostojnej bezinteresowności i bezgranicznego umiłowania skalnej przestrzeni.

J. A. Szczepański.



W ub. sobotę w pobliżu Namur zabił się król Belgów Albert I. odpadłszy od skały w czasie spinaczki na wapienną iglicę. Król Albert urodził się w 1875 r. Na tron wstąpił dnia 17. XII. 1909 po śmierci króla Leopolda II. W 1900 r. ożenił się z Elżbietą księżniczką bawarską. W czasie wojny Albert I stał niezłomnie na czele swoich wojsk, broniąc kraju przed inwazją niemiecką. Otaczał go powszechny szacunek i miłość poddanych. Tragiczna jego śmierć pogrążyła w głębokiej żałobie wszystkich kombatantów wielkiej wojny, dla których król Belgów był niedościgniony ideałem bohaterstwa i miłości ojczyzny. Cześć Jego pamięci.



Albert I pokonujący niebezpieczną ścianę w Alpach włoskich Brenta Bassa jesienią 1930 r.



Następca tronu belgijskiego, najstarszy syn Alberta I, książę Leopold z żoną Astrid, z domu księżniczką szwedzką.



Herb królestwa Belgji.

MINISTER BECK NA KREMLU.

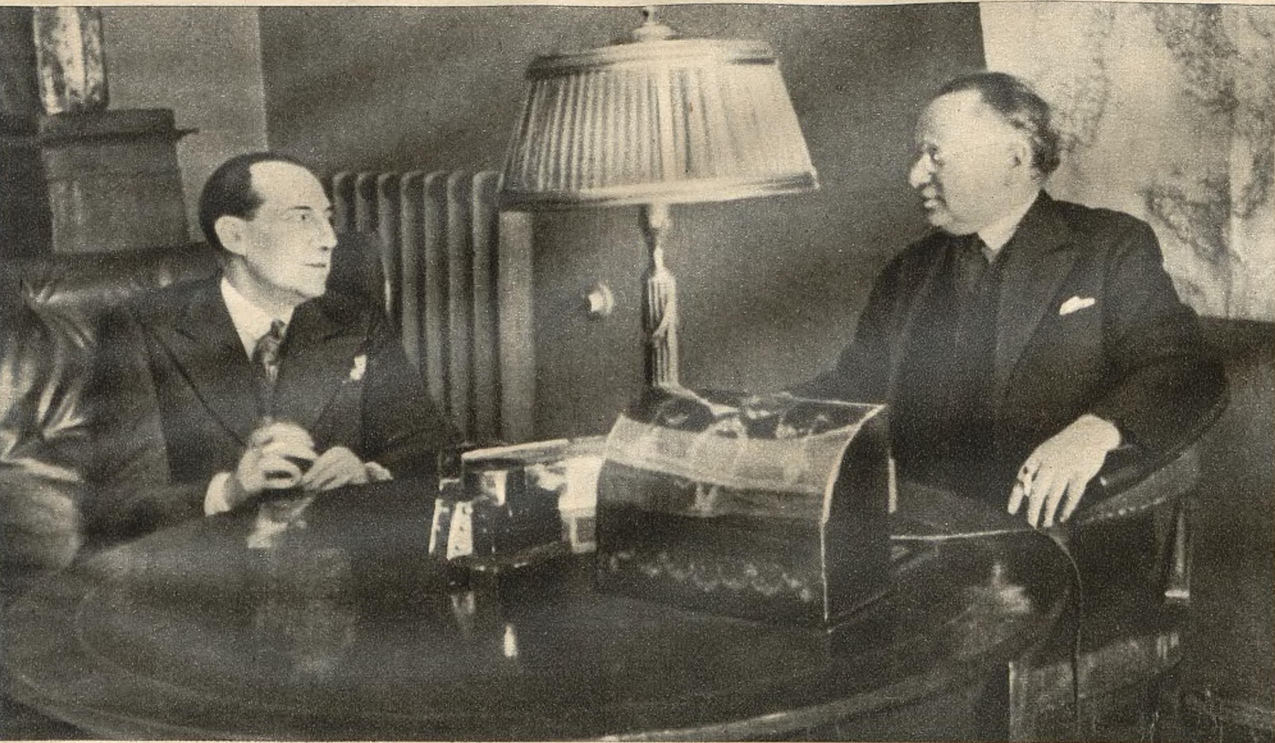
Wielkie dziejowe zdarzenia ostatnich miesięcy, dokonywujące się na terenie polityki całego świata, zwróciły uwagę na człowieka, któremu Polska powierzyła opiekę i czujne baczenie w sprawach jej suwerenności i godności na teatrum międzynarodowem. Fakt niezbity, że w chwili obecnej Polska na tym teatrze odgrywa tak wybitną i niezwykłą rolę i w tak właściwy sposób oświetloną, każe zwrócić uwagę całego narodu na męża stanu, nad tekstem i ważnością tej roli czuwającego.

Postać Józefa Becka widzi się nie w sylwecie malarskiej, ale raczej jako rzeźbę, z twardego wykutą materjału. Warto ją z kilku stron oświetlić i przyjrzeć się jej dokładniej.

Jako myśliciel Józef Beck posiada ten niezmiernie czujny instynkt trzeźwości, który mu pozwala na skupienie całej myśli ludzkiej na rzeczy istotne, a odrzucenie nieprzerwanej serji błahostek, starających się zawsze wcisnąć do procesu myślowego i utrudnić dotarcie do jądra sprawy. Wielka łatwość w oglądaniu faktów, przejrzystość w szeregowaniu ich kolejności prowadzi do właściwego oceniania ich wartości. Jasność w sposobie zbierania materjału, który należy wciągać w orbitę myśli, jak i trafność w odrzucaniu całego balastu, który na decyzjach nigdy nie powinien zaważyć.



Powitanie ministra Becka i jego małżonki na dworcu warszawskim po powrocie z Moskwy.



Minister Beck w rozmowie z komisarzem Litwinowem w Moskwie.

Ci, którzy z nim często rozmawiają, lub nawet współpracują, są nieraz zaskoczeni właśnie wielką zdolnością uniezależniania się od panujących w danej chwili prądów i tak zwanych „nastawień" politycznych. Koncepcja polityczna Becka jest wiernym i czystym tworem własnego procesu myślowego i dlatego daje gwarancję oryginalności, unikającej wszelkich ułatwień, z bardzo wygodnego kopjowania danych nastrojów pochodzących.

Taki rozkład sił w aparacie myśliciela jest najpewniejszem zabezpieczeniem i podstawą dla owocnej pracy dla męża stanu. Wielkie zagadnienia, zwrócone w stronę jego, jako męża stanu, napotykają odrazu na metodykę tak gruntowną i tak sprawną, że może ona cały trud przemyślenia wykonywać bez obawy, aby wmieszały się pierwiastki obce w sam akt tworzenia się sądu o danem zagadnieniu.

Na trafną orjentację każdego polityka czyha cały niezmiernie skomplikowany i misternie działający system zagradzania widoku rzeczy istotnych bogatą architekturą rzeczy, pozornie tylko do sprawy należących. Posiadać zdolność orjentowania się w tej nieprawdzie i następnie siłę stanowczego odrzucania tego balastu — to znaczy opanować cały mechanizm polityczny roboty. Beck posiada znowu na tem polu niezwykle bogatą intuicję, która mu pozwala jednem pociągnięciem ręki odsunąć misterną zasłonę i bez pomyłki widzieć sprawy takiemi, jakiemi są w obliczu zdrowego sądu ludzkiego.

Nie ulega kwestji, że zdobyć się w każdej sytuacji na tak bezpośredni sąd o rzeczach i na tak okrutnie trafną ocenę widzianych przed sobą elementów, może tylko człowiek o wielkiej odwadze cywilnej. Odwaga cywilna, na podłożu niezwzruszenie konsekwentnej i wiernej ideologji naszego narodu, w ustawicznym i bardzo ścisłym kontakcie z Komendantem, twórcą i najwyższym szczytem koncentracyjnym tej ideologji — oto jest najdoskonalsze uzbrojenie naszego ministra spraw zagranicznych. Wszelkie ataki i próby uśpienia jego czujności, któreby były skierowane w stronę tak dobrze we właściwą broń uposażonej placówki, czy to z zewnątrz, czy też nawet z wewnątrz kraju, muszą rzecz prosta ześlizgnąć się bez śladu po bokach tej fortecy. Albowiem odpada w sposobie myślenia i w formowaniu decyzyj ta dla niejednego polityka i męża stanu groźna przymieszka i przeszkoda dobrego myślenia, a mianowicie: lęk.

W osądzaniu spraw najbardziej ogólnej natury jak i w powzięciu najbardziej zasadniczych postanowień, podświadomy stan obawy jest bardzo często poważnym współczynnikiem w okresie pierwszego zaczynu myśli ludzkiej. Człowiekowi tej odwagi cywilnej, co Beck, uczucie lęku jest całkowicie nieznane. Daje to więc nietylko gwarancję dobrej defensywy myślenia, ale niemniej pewnej i mądrze dawkowanej ofensywy. Sprawiło to, że poraz pierwszy może w historji naszej świeżej Niepodległości, spotykamy się z pewnym zdecydowanym systemem tworzenia własnych koncepcyj, bez oglądania się na takie lub owe miny wrogów jak i sojuszników, w dobrze i śmiało zrozumiałym interesie własnej państwowości.

I jeszcze jedno. Dzięki przeszłości wojskowej i wojennej, dzięki przeszłości czysto ideowo i niewzruszenie związanej z Twórcą i twórcami polskiej Niepodległości, Beck nie jest tylko ministrem jednego resortu, ale zarazem jest w gremium swoich najbliższych kolegów współpracownikiem, w idealnej zgodności koordynującym stanowisko państwowe Polski z jego najbardziej żywotnemi potrzebami polityki wewnętrznej i opierającym się w każdem wystąpieniu zagranicznem na niezmiennych zasadach naszej myśli państwowotwórczej. Taka możność ciągłego porozumiewania się i zgodnego współdziałania na terenach: wewnętrznym i zagranicznym równocześnie, jest naturalnie wielkiem dobrodziejstwem dla całokształtu naszej polityki, zyskującej na tej drodze piętno wielkiej jedności. Jej rezultatem jest wzmożona zdolność argumentacji dla użytku propagandy, a co za tem idzie, na terenie zagranicznym: uznanie prawdziwej siły.

Taka metoda postępowania, wielka planowość ujawniająca się we wszystkich decyzjach ministra spraw zagranicznych, budzi naturalnie zaufanie do Becka, jako dowódcy. Głęboko ideologicznie wierny wielkiej przez Komendanta zakreślonej linji honorowej pozycji Polski na arenie wszechświatowej polityki, Beck ma zawsze, gdy tego zajdzie potrzeba, odwagę inicjatywy i odwagę czynu. Dar mądrej strategji, która nie wypala całej masy zbytecznych nabojów i gardzi zewnętrznemi efektami, pozbawionej treści — to dar, który zarazem ułatwia tworzenie jasnej wizji tego, co jest naprawdę potrzebne, co ma zdrowy sens i godzi w samo jądro danej sprawy.

Wszystkie te zalety myśliciela, męża stanu i wodza zarazem zgóry określają także samego i całego człowieka.

Zupełne lekceważenie wszelkiego łatwego efekciarstwa, unikanie wrodzone rzeczy i decyzyj banalnych przy głęboko wpojonem poczuciu odpowiedzialności, zdecydowana postawa i świadomość czynu przy zadziwiającej właściwie skromności osobistej, rozum dowodzenia ludźmi i wielka zdolność skonstruowania rozkazu, a wreszcie szlachetna ludzkość w postępowaniu z tymi, których do wykonania tych rozkazów powołał, to są główne cechy ministra i obywatela, Józefa Becka.



Prezenty, które otrzymali min. Beckowie w Moskwie.

REWOLTA W AUSTRJI.



Zasieki z drutu kolczastego na ulicach Wiednia.



Legitymowanie przechodniów, udających się z przedmieść do śródmieścia Wiednia.

Wiedeń, w lutym.

Pociąg międzynarodowy wtoczył się ciężko na dworzec północny. Trzymano nas długo na sygnale wjazdowym, aż zaczął się niecierpliwić służący wagonu restauracyjnego. Wyszedł z wagonu na tor.

Nad Wiedniem wisiała szara mgła wieczorna oblepiając domy i drzewa wilgotnym, brudnym łachmanem.

Konduktorzy wiedzieli niewiele. Coś się musiało stać. Może jakiś pociąg zatarasował nam drogę i czekamy na wjazd.

Jakiś zdenerwowany pasażer Niemiec począł narzekać na austrjackie porządki i chwalić hitlerowski Berlin. Ten wykorzysta każdą sytuację do propagandy.

Wtem gdzieś z dala doleciał suchy trzask. Czyżby strzał? Po nim odezwał się drugi, trzeci, wreszcie poczęły sypać się nerwowe szybkie, złe, kąśliwe trzaski, jakgdyby ktoś deski łamał.

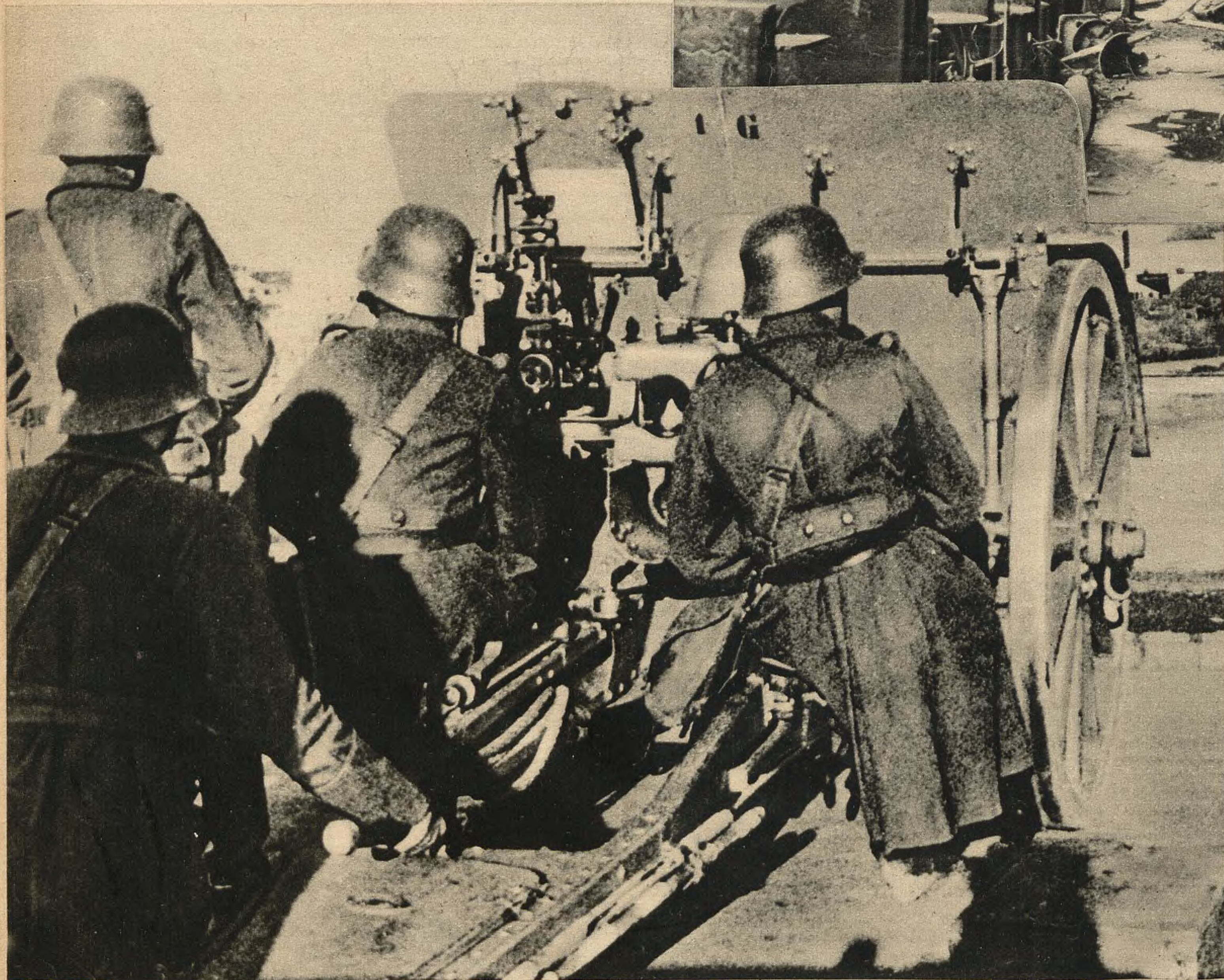
Nad Dunajem i kanałem wisiała ciemność.

To obława policyjna starła się z bandytami i mętami podmiejskiemi — objaśnia ktoś. Gnieździ się to wszystko na przedmieściach wzdłuż Dunaju, mieszka na galarach i w łodziach. To zwykły odgłos na peryferjach wielkiego miasta.

Gdzieś w dali rozświetliło się zielone oko semafora. Paryski express ruszył w stronę dworca. Za nim szedł szczekot karabinów Wiedeńskie ostatki. Szalony karnawał nad modrym, pięknym Dunajem. Piękne walce, wytworne lokale, piękne kobiety, sentyment dawnych dobrych czasów.



Wnętrze kawiarni robotniczej, t. zw. „Goethe-Hof" spalonej i zniszczonej.



Artylerja ostrzeliwująca Floridsdorf.

Na dworcu jakiś dziwny ruch. Snują się jakieś postacie, patrzące nieufnie na przyjezdnych, krąży żandarmerja z nasadzonemi na karabiny bagnetami. Wszystkie twarze są jakieś szare jak mgła, która spowiła naddunajską stolicę. I tylko świecą się oczy, tylko w oczach robotników i tragarzy jakiś żarzy się błysk.

Taksówka wiezie nas do hotelu. Rozmowny szofer mówi nam o ciężkiej sytuacji miasta i państwa, mówi, że będzie strajk, że już tam gdzieś w Heiligenstadt, czy na Grinzigu strzelano do ludzi.

— Kto strzelał?

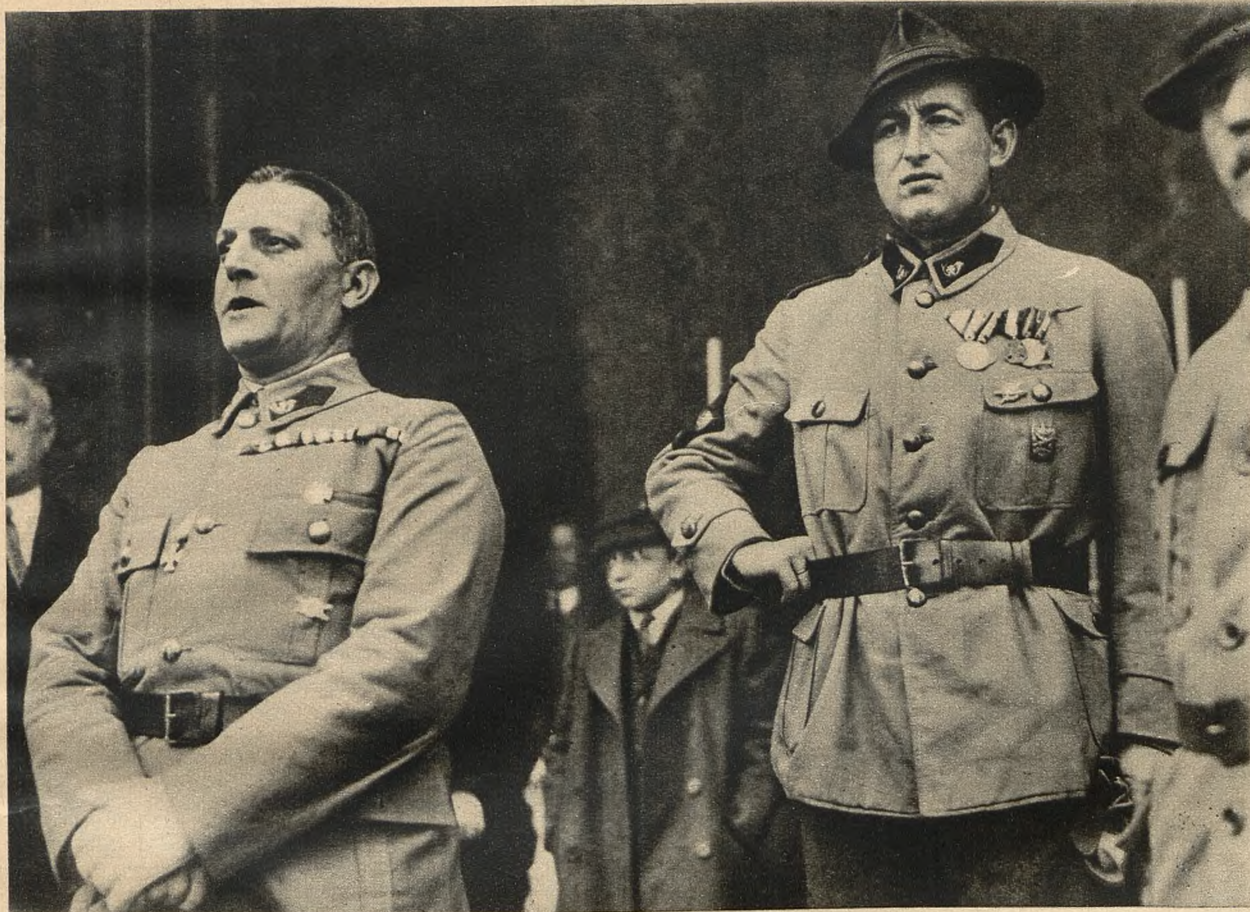
— Der kleine Dollfuss! — Mały Dollfuss.

Dyskusja się rwie. Miła perspektywa. Jeszcze brzmią nam w uszach strzały lecące wzdłuż paryskich bulwarów, jeszcze nie zgasły w oczach widoki płonących autobusów, jeszcze widzimy paryski tłum na barykadach. Czyżby i Wiedeń?

Towarzysz uspakaja mnie. Zna Wiedeń. To prze-

(Ciąg dalszy na stronie 5-ej).

REWOLTA W AUSTRJI



Wicekanclerz Austrji mjr Emil Fey Freiherr von Rettelstein i przywódca Heimwehry ks. Rüdiger Starhemberg.

Major Fey był zawodowym oficerem dawnej monarchji austrjacko-węgierskiej. W czasie wojny służył w czwartym pułku piechoty, słynnym „Deutschmeisterregiment" i walczył z nim na froncie włoskim. Czterokrotnie był ciężko ranny. W 1916 r. zarządził na własną rękę atak na wzgórza St. Osvalda w dolinie Suganu i za ten czyn otrzymał najwyższe odznaczenie wojskowe austrjackie, order Marji Teresy. Dziś major Fey jest właściwym dyktatorem Anstrji.

(Ciąg dalszy ze strony 4-ej).

cież typowo drobnomieszczańskie miasto. Ludzie tu tacy „gemütlich", ktoby tu robił rewolucję?

A jednak przyszła chwila, gdy stanęło życie życie wielkiego miasta i poczęła na ulicach mówić rewolucja strzałami maszynowych karabinów, granatami ręcznemi, szaloną gonitwą pancernych aut i jękiem trąbek pogotowia.

Zaczął barykadami Linz, sekundował mu na drugim brzegu Dunaju leżący Urfahr. Przyszła pora na Wiedeń.

Ulice wiodące w stronę przedmieść zamknięto drucianemi zasiekami i zwałami worków z piaskiem. Zamarły arterje wiodące do Wiednia.

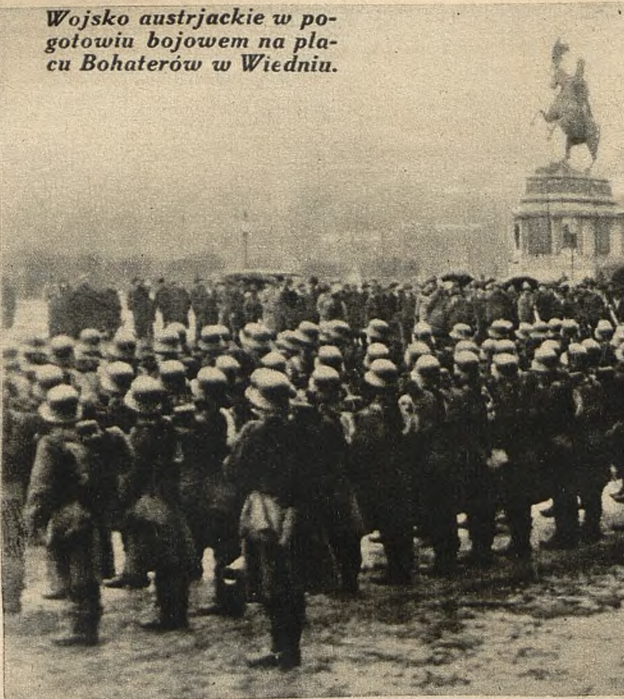
Rozpoczął się ostatni tydzień karnawału krwawym tańcem ze śmiercią.

Gorzał ogniem walki Heiligenstadt z redutą w Marxhofie. Bojówki Schutzbundu sięgały stąd aż do Grinzigu. Bił się nieustępliwie Floridsdorf, oparty o placówki rozrzucone po Marchfeld, biło się Stadlau, krwawił się kagran.

Szła krwawa linja dokoła Wiednia od północy na wschód i południe.

Lała się krew na Simmeringu, padał trup gę-

(Ciąg dalszy na str. 6-tej).



Wojsko austrjackie w pogotowiu bojowem na placu Bohaterów w Wiedniu.



Wybuch strajku generalnego w Wiedniu dnia 12. lutego br. o godzinie 12-tej w południe.

REWOLTA W AUSTRJI.

Walki pomiędzy socjalistami a wojskiem toczyły się nietylko w Wiedniu, ale także na prowincji. Na zdjęciu pogotowie wojskowe w Wiener Neustadt.

(*Dokończenie ze str. 5-ej*).

sto na Meidling i spokój dostojny Schoenbrunnu zakłóciły strzały.

Wiedeń wyszedł na barykady, zbudowane z rozbitych aut, z płyt kamiennych i brukowych kostek, z ulicznych latarń. Wiedeń pokazał tragiczne oblicze bratobójczych walk.

Bloki robotniczych domów przemieniły się w obronne reduty. Tańczył Wiedeń w ten karnawał obłąkanym tańcem krwi w takt grzechotu karabinowych strzałów i basu armatnich pocisków. Śmiały się nad stolicą piekielnym śmiechem pociski armatnie, lecące z pod stacji radjowej na Bisamberg. Armaty Dollfussa, Feya i Stahremberga biły celnie.

Rozpadały się w gruzy bloki domów, a pod gruzami ginęły bez ratunku kobiety i dzieci. Pocisk armatni ma swoją dziwną wymowę.

Na Leopoldstadt dziwny ruch. Z tej dzielnicy poczęto najrychlej uciekać i to dość daleko, bo do Szwajcarji, Włoch, Węgier, Czechosłowacji i — jak zwykle do Polski.

Pod gradem pocisków armatnich przygasał rewolucyjny płomień. Coraz więcej padało zabitych, coraz więcej było rannych. Na punktach oporu powiewać poczęły białe flagi.

A nocami sądziły sądy doraźne przeciwników. Szły wyroki śmierci. Münnichreitera ponieśli pod szubienicę na noszach. Był ciężko ranny.

— — — — — — — — —

Armaty przywróciły spokój. Nad Wiedniem zapanowała cisza. Tylko poranione domy patrzą na świat oślepłemi oczyma okien.

— — — — — — — — —

Ożywiły się Ringi, ulicami poczęły znowu płynąć tłumy, wieczorami zabłysły światła neonowych reklam. W jakiemś kinie dają stary szlagier „Burza nad Azją". Wiedeń zapomniał o ponurych dniach. Wiedeń mógł zapomnieć, bo przecież strzelano gdzieś już u wylotu Landstrasse, strzelano po tamtej stronie Dunaju we Floridsdorfie i za kanałem w Heiligenstadt. Strzelano wprawdzie w Meidling, ale nie długo. Poszczerbione domy stoją na peryferjach. Z barykad na ulicach miasta już niema śladu. Może tam gdzieś jeszcze na przedmieściach walają się worki z piaskiem, zbroczonym krwią.

W kawiarniach na Kärtnerstrasse grają orkiestry. Płyną dźwięki jakiegoś tanga, burzącego krew, ale nie w sensie rewolucyjnym. Dzienniki piszą o sądach doraźnych bardzo mało, a epizody rewolucyjne podają migawkowo w rządowych relacjach. Prawdziwy Wiedeńczyk nie wiele wie o rewolucji. Kiedy strzelano, nie zapuszczał się w okolice, gdzie leciały kule, bo i poco kłaść zdrową głowę pod ewangelję. Zresztą „extraausgabe" poda wiadomości z placu boju. Wiedeńczyk denerwował się tem, że może nie będzie prowiantu, więc zaopatrywał się w jadło, jakby w oczekiwaniu długiego oblężenia. Oblężenie było krótkie.

Na razie spokój. Na rogach ulic stoją policjanci regulujący ruch. Znowu te same dobroduszne twarze. Nik nie przypuszczałby nawet, że wczoraj była tu jakaś rewolucja. Wiedeń to przecież „eine lustige, gemütliche Stadt".

W kinie na Favoriten dają dramat amerykański. Napad bandytów na bank. Auto pancerne, karabiny maszynowe, strzelanina, trupy, ranni.

— Jessas! Um Gotteswillen! Was treiben die da denn? — Odzywa się jakaś modna panienka, stylizowana na Gretę Garbo. — Sa ruhig Mizzi, das ist doch Kino — uspokaja ją towarzysz o wydatnych ustach i orlim nosie.

To tylko kino... uspokój się. I Mizzi uspokoiła się. Wydobyła z pudełka pomadki i poczęła je gryźć spokojnie, powoli. Spojrzała czule na towarzysza. — Du hast Recht, Bubi, das ist bloss Kino.

Na ulicach gwar, kakofonja sygnałów i nerwowy pośpiech.

Na Wiedner mijają się dwaj młodzi ludzie. Podnieśli prawe ramiona w górę. Heil! Heil! Iluż takich młodych krzyżuje swe drogi na ulicach Wiednia. To Wiedeń jutra. Patrzył spokojnie na to, co się działo. Dla niego krwawe zapusty nie były tylko kinem. Patrzył i uczył się jak nie należy robić rewolucji.

A daleko na przedmieściach, w rozwalonych, zimnych mieszkaniach kupi się nędza. Zostały wdowy i sieroty. Na Ballplatzu goreją jasnooświetlone okna.

* * *

Wiedeń uspokojony. W samej stolicy Austrji aresztowano ponad 3 tysiące osób. Wobec przepełnienia więzień musiał rząd Dollfussa przemienić hale fabryczne i koszary na pomieszczenie dla aresztowanych.

Sprawnie działają sądy doraźne. Kat i jego pomocnicy „pracują" bardzo wydatnie. Na szubienicach wiszą ponure owoce krwawych dni.



Widok z lotu ptaka na nową dzielnicę robotniczą Wiednia, gdzie toczyły się najcięższe walki.



Karl-Marx-Hof, podziurawiony kulami.

dzenia, ale całemu porządkowi społecznemu — że, gdyby nie był wystąpił odrazu z całą energją i konsekwentnie jej nie przeprowadził, zamachowcy socjalistyczni byliby całą swoją, nie od dzisiaj manifestowaną, nienawiść do mieszczaństwa wiedeńskiego wyładowali, nie krępując się niczem. Stojąc zdaleka od aktualnych wypadków, z natury rzeczy nie można ściśle rozsądzić, czy energja w odparciu zamachu socjalistycznego nie wyszła poza granice konieczności. B.




Rozbrojeni marksiści idą z rękoma podniesionemi do góry pod strażą wojska.


Pożar domu robotniczego we Floridsdorfie.


Przywódca socjalistów austrjackich dr. Juljan Deutsch uciekł do Czechosłowacji.

Zwyciężeni milczą. Ukradkiem chowają swoich umarłych. Władze wydały ostry nakaz, że poległych członków Schutzbundu można chować tylko we wczesnych godzinach rannych i tylko w obecności najbliższych krewnych.

Z domów robotniczych wysiedlono dotychczasowych mieszkańców i umieszczono ich w barakach. W zestrzelanych blokach zainstalowano nowych stróżów, cieszących się zaufaniem policji.

Twarze ludzkie są blade, jakgdyby spopielone w ogniu wczorajszych walk, są matowe i nieufne. Nie wiadomo, kto i kiedy zadenuncjuje. Z sądem doraźnym niema żartów. Na głowę Wallischa wyznaczono cenę 5.000 szylingów. Schwytano go w poniedziałek. Tego samego dnia osądzono go i powieszono w dwie godziny po ogłoszeniu wyroku. Aparat działa sprawnie. A prasa wiedeńska zastanawia się, kto otrzyma 5.000 szylingów — czy kolejarz, który pierwszy zauważył Wallischa, czy też policjant, który skazanego aresztował.

Zbyt wiele żałoby chodzi po Wiedniu, zbyt wiele wdów i sierót boi się płakać. Rząd tłumaczy się, że stanął w obliczu wielkiego niebezpieczeństwa, grożącego nietylko temu, czy innemu systemowi rzą-


Kanclerz austrjacki dr. Engelbert Dollfuss. Prowadzi walkę na wewnątrz z socjalistami, hitlerowcami, a na zewnątrz z Rzeszą niemiecką.


Zamachowcy, schwytani we Floridsdorfie, na dziedzińcu sądowym. Za chwilę staną przed sądem doraźnym.


Skoszeni karabinem maszynowym



Po drewnianych schodach przebiega niezliczoną ilośc razy dziennie służąca.

Przez brudne i zamglone okno pada z podwórka nikłe światło na pracę młodego ślusarza.

PODWÓRKO.

Mały czworobok, wybrukowany nierówną kamienną kostką, otoczony wokoło szaremi murami wysokich kamienic, to jest miejskie podwórko, państwo zamknięte w sobie, dla siebie tylko istniejące, przeżywające własne tragedje i radości. Ze światem zewnętrznym, ulicą pełną ruchu i gwaru, łączy go tylko wąska, mroczna szyja sieni, w której, jak złowrogi cerber, wartuje „pan dozorca". Pan dozorca jest postrachem całej kamienicy. Wszyscy muszą mu się nisko kłaniać, wszyscy się go boją, zresztą może nie tyle jego, co tego potoku słów, który jak lawina pada na biednych mieszkańców domów z ust „pana dozorcy".

— O tej godzinie będziesz mi tu trzepać dywany, wcześniej wstać się nie chciało jaśnie pani, hę? A ta z drugiego piętra,to znowu w samo południe śmieci wynosi, po schodach je rozrzuca, a posprzątać niełaska?...

Uciekają chyżo bose stopy służącej po stromych drewnianych schodach, biegną szybko po wyginanej podłodze, zmurszałych ganków, okalających podwórko i zatrzymują się dopiero gdzieś na trzeciem piętrze bezpieczne.

— Na każdymby sobie pysk strzępił — odwarknie już bezpieczna służąca ze spokojnego schronienia, a potem szerokim dźwięcznym uśmiechem parsknie ku groźnie wyciągniętej pięści dozorcy.

Z panem dozorcą liczyć się musi nawet pan właściciel, coprawda rzadki gość na brudnem podwórku. Tylko raz w miesiąc po pierwszym przychodzi otulony we futro z wspaniałym bobrowym kołnierzem,poda końce tłuściuchnych palców dozorcy, a jego oczy, patrzące bystro zza złotego „ćwikiera" lustrują zgóry nadół wszystkie okna, które na jego powitanie zatrzasnęły się w śmiertelnym strachu.

— Ci z trzeciego piętra znowu nie zapłacili. „Biedaki", to się tak mówi, że „biedaki", ale w sobotę w szynku na rogu zarobek cały przepuścić potrafią.

— Jaśnie pan ma rację, jaśnie pan ma zawsze rację — przytwierdza gorliwie dozorca i dodaje chytrym szeptem. A ta z parteru, pan właściciel wie, ta ładna Mańcia, to znowu się z jakimś mota.

— Powiadasz... Mota się... Hm. Ale bestja ładna.

Gdy dostojna twarz właściciela zniknie, jak zła zmora z podwórka, otworzą się znowu okna i wychylą się z nich wychudłe zabiedzone twarze, jakby chciały oddechu zaczerpnąć. Po mokrej, zawilgłej ścianie ślizga się słońce. Słońce, które nie dociera nigdy aż do samego dna, do zawilgłego, kamiennego czworoboku, przeciętego rynsztokiem. Nie pada na zabrudzone, jakby mgłą zaszłe szybki małego okienka, którego krzywa rama zarysowała się tuż nad ziemią, w najbrudniejszym kącie podwórka.

Za tem oknem siedzi marzenie, zamknięte w oczach młodego czeladnika. Ciężka jest jego praca i smutna. Życie przechodzi obok niego jak te sylwetki ludzi, które migają przez krótki moment poza szybami małego okienka. Był dzień, kiedy za szybą mignęła piękna twarz młodej dziewczyny, twarz, której już odtąd zapomnieć nie może. Ale dziewczyna nie patrzy na niego. Djabeł ją opętał, czy jakieś inne licho, a może to te cygany, muzykanty, jak mówi stara stróżka. Właściwie niewiadomo, czy stara stróżka, która zawsze wszystko o wszystkich wie, jest żoną, matką, czy babką groźnego pana dozorcy. Dość, że lubią ją wszyscy, bo jakoś tak umie każdego w biedzie pocieszyć. Ona też pierwsza zobaczyła tego młodego skrzypka, do którego śmiały się oczy dziewczyny...



Wąska czeluść bramy, łącząca „państwo podwórkowe" ze światłem zewnętrzyem.

Ilekroć na podwórko przyjdą muzykanci, pierwsze tony uniosą się w górę i zadźwięczą na szybach okien, za balustradami ganku, jak piękne roztańczone kwiaty ukazują się młode dziewczęta. Jest wtedy radość wielka, jakby muzyka przepędziła precz stęchliznę i smutek. I wszyscy są weseli, wszystkim jest nagle dobrze, beztrosko. Jeden tylko młody rzemieślnik słucha w zasępieniu skocznych tonów muzyki.

Poszli... Ale jakoś nikomu nie chce się wracać do domu. Rozgadali się wszyscy. Służące, panie, dzieci i emeryci, wszyscy mają sobie tysiące nowości do opowiedzenia... Plotki, plotki rozszalały się na podwórku.

Jest jeszcze jedna, może największa atrakcja, jaką przeżywa „państwo podwórkowe". Jest nią ukazanie się listonosza, człowieka, który w swojej skórzanej torbie przynosi nieprzebrane skarby, listy z dalekich stron. To też witają go wszyscy radośnie, a ci, którzy nie otrzymali znikąd wieści, patrzą zazdrośnie na czytających listy.

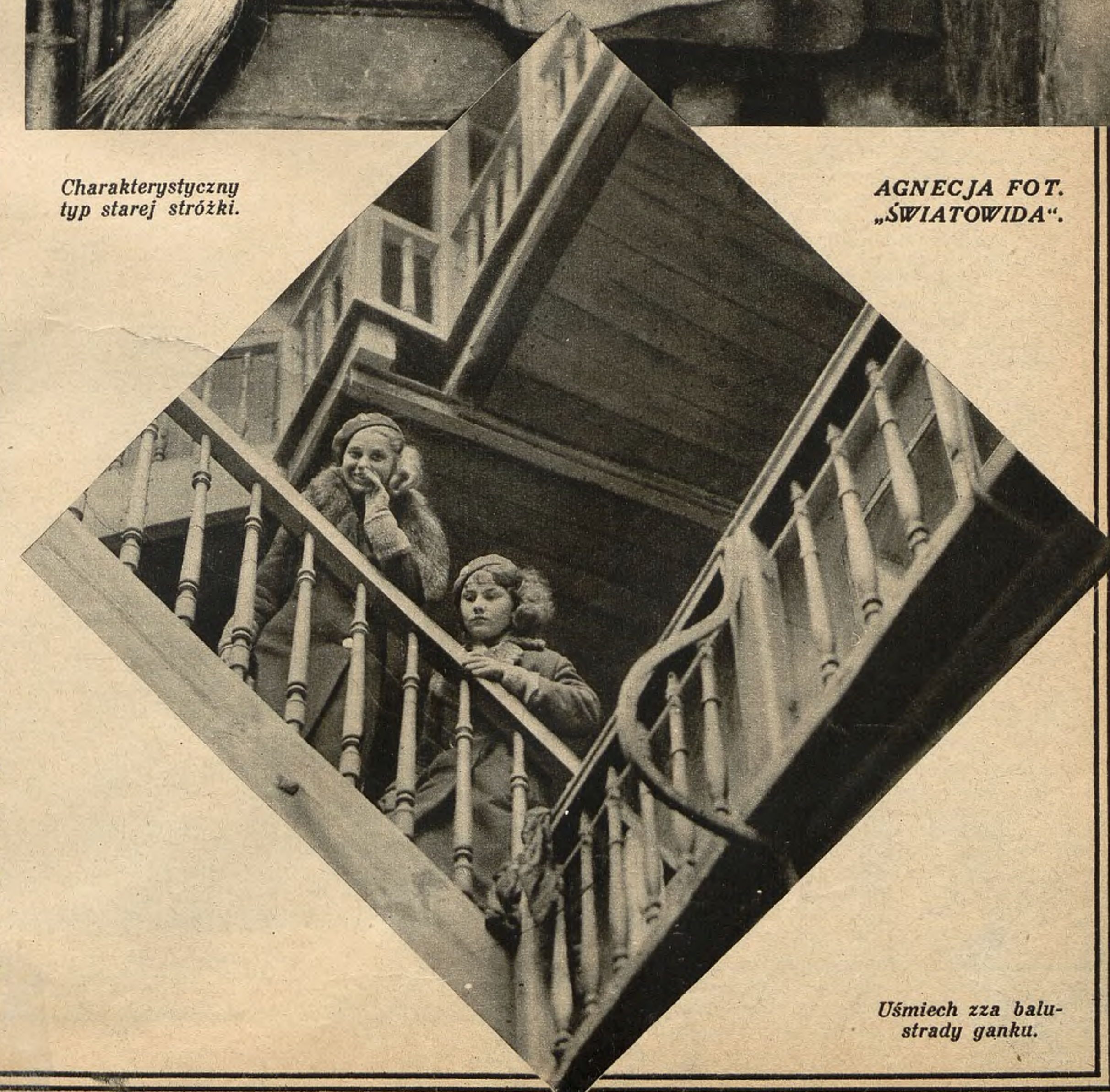
Takie są mniejwięcej z małemi odmianami wszystkie tragedje podwórkowe. Takie się różne rzeczy dzieją i giną w zapomniane w monotonji dni. Coraz częściej jednak zwraca się nowoczesna literatura do tego życia, aby zaczerpnąć z niego motywy do nowych dzieł o nowem obliczu prawdy.

Jan Szancer.



Charakterystyczny typ starej stróżki.

AGNECJA FOT. „ŚWIATOWIDA".



Uśmiech zza balustrady ganku.

ECHA POZNAŃSKIEGO KARNAWAŁU.



Wesoły nastrój na balu bridżowym w Poznaniu.
ZDJĘCIA FOT. „ŚWIATOWID“.



Przy bufecie. Jako gospodynie pp. Noskowska, Hahnowa i Izydorkówna.



Partja bridża zdala od muzyczki. Przy stoliku (po lewej) p. wicewoj. Kaucky, dyrektor Muzeum Wielkopolskiego dr. Pajzderski, kurator dr. Pollack i inni.

Cóż winna panienka, że dorosła w czasie kryzysu? Pani de Thèbes zapowiada stanowczą i wspaniałą poprawę stosunków na rok 1954. Ale tych młodych, roześmianych do życia oczu, tej twarzyczki z figlarnemi dołeczkami, tych przedreptujących ku tańcowi zgrabnych nóżek, niepodobna schować do szuflady na lepsze lata. „Pokazać“ — wołają stare przyjacjółki rodziny. — „Pokazać“! — domagają się śmiało te oczy, ta twarzyczka, te niecierpliwe nóżki.

Jak świat światem, a przynajmniej jak karnawały karnawałami, trzeba, żeby się panienki pokazały, żeby zatańczyły. Muszą się już poświęcić matki. Ubrać się w suknię, w której im do twarzy, pogwarzyć, skosztować tortów, no i też trochę potańczyć. Poświęcą się i starsi panowie. Trochę więcej tego wieczora zjedzą, wypiją, zagrają w bridża. Poświęcą się i młodzieńcy, troszkę zaledwie ukazując, że ich do tego trzeba namawiać. Poświęcą się młode mężatki, siostry, kuzynki i bratowe panienek. Urządzą wieczorki... ostatecznie nawet bez panienek. To zresztą prostsze i mniej pretensjonalne.

I tak się jakoś skleci karnawał. Kryzys nie kryzys. Ciężkie czasy przestawią regulator na inny stopień zbytku. Zamiast orkiestry, taperdysk. Zamiast szampana skromniejsze napitki, a ostatecznie wyborowa monopolowa i świetna woda mineralna... (tutaj zręcznie zostawiam puste miejsce, aby i dział reklamowy „Światowida“ załatwił jakiś interes przy moim artykule). I zamiast otwartych podwoi pałacu i służby w liberjach herbowych, będzie poprzestawiane mieszkanko i służąca w białym fartuszku. Albo... może poprostu się umówić na dancing. W ten sposób niema kłopotu z przygotowaniami w domu, z układaniem kanapek i przesuwaniem kanap, z wietrzeniem pokoi po papierosach! Każdy zapłaci za siebie. Dla państwa domu wypadnie to wiele taniej.

W ten sposób karnawał wypowiada się dancingami. A że zaciera się coraz bardziej różnica między klasami towarzyskiemi, a nawet podobno między porami roku, że nawet w Polsce straciliśmy wiarę przodków, aby pączki można było jeść tylko między Nowym Rokiem a środą Popielcową, więc i dancingowy karnawał rozciąga się na na 12 miesięcy roku, tak, jak pączki i miłość. Pozostają tylko, jak szczątkowe odruchy natury pierwotnej, zaintensywnienia miłości w maju, a na dancingu w dawnym terminie zjadania pączków. To właśnie jest karnawał.

Ale karnawał, obok swej zasadniczej treści: pokazania dorosłych panien i bawienia się („dla nas to jest zabawą, im na całe życie“), obejmował też produkty poboczne. Skoro raz już ludzie otworzyli portmonetkę, skoro ona raz, zamiast regularnych kłapnięć na codzienne potrzeby, rozbawiona, otwarła szeroko buzię, niechże z tego skorzystają „dobre cele“. Niechże ludzie, tańcząc, wybulą coś na podrzutków, na czytelnie ludowe, na bezrobotnych starców. Obok balów dobroczynnych, inne zbiorowe bale zachowały szczątkowe znaczenie festynów korporacyjnych. Prasa, rolnicy, prawnicy, studenci takich czy owych wyższych uczelni, muszą uhonorować swój zawód, wykazać się swemi stosunkami towarzyskiemi, urządzając bal. Bale publiczne stanowiły w Poznaniu główną treść karnawału w przedwojennych czasach, kiedy liczne zamożne domy były wiejskiemi pałacami, bez apartamentu w mieście. Pewnej zmianie, która się pod tym względem zarysowała po wojnie, nie pozwolił się rozwinąć duch czasu, a potem kryzys. Bale publiczne zbiorowe, okazały naturalnie najwięcej wobec kryzysu odporności, i one co roku „markują“ karnawał. Prasa, prawnicy, lekarze, szwoleżerowie, ułani, artylerzyści i różne studenckie korporacje, rywalizujące między sobą „Mieczyslavie“, „Boleslavie“ czy „Przemyslavie“, nie pozwalają zapomnieć, jaka to jest pora roku, zmuszają do otrzepywania z naftaliny fraków, nie pozwalają praczkom zapomnieć sztuki „wysztywniania przodków“.

Wśród tych balów nie pominńmy jednego: Balu Szkoły Zdobniczej. Bale malarzy mają na całym świecie swój bezkonkurencyjny urok. Może dlatego, że artyści z zawodu bawią się, pracując, więc nie żałują pracy, aby się bawić. Wkładają w zabawę bez rachuby całe skarby inwencji. A przytem bawią się węglem, pendzlem, kolorami. Humor ich nietylko przelewa się w ucho sąsiada, ale rozpościera się na ścianach, ciśnie się do oczu wszystkich i ogarnia każdego wchodzącego, zanim się opatrzy, niby jakaś oszalała pogoda meteorologiczna. Na wszystkich pięciu kontynentach opowiadają sobie ludzie cuda zgorszone o paryskim „Bal des Quat-z-Arts“.

Na balach poznańskiej Szkoły Zdobniczej niema oczywiście śladu zgorszenia. Nienaganna cnota i istny wersal! Niemniej jednak świetna zabawa, a tegoroczna dekoracja sali i licznych bufetowych pokoi w motywach bridżowych była prawdziwym popisem humoru zdobników.

Ludwik Puget (Poznań).



Fragment sali na balu Szkoły Sztuki Zdobniczej w Poznaniu. W pośrodku pod lewą kolumną widoczni: dyrektor Szkoły K. Maszkowski i rzeźbiarz Władysław Marcinkowski.

NA NOWE TORY.

Wojna światowa wprowadziła do stosunków międzynarodowych i międzypaństwowych uczuciowe kategorje miłości jednych, nienawiści drugich. Może to i było potrzebne, a nawet konieczne. Ale wojna światowa już się dawno skończyła a z nią skończyło się kształtowanie się stosunków międzynarodowych i międzypaństwowych na owych czysto uczuciowych podstawach. Zamiast nich wysunęło się na czoło mentalności politycznej pojęcie własnego interesu danego narodu i państwa, który każe szukać zbliżenia na podstawie zasady „świętego egoizmu", zasady, która w pełni zachowała swą aktualność. Objawem tych przemian jest i dzisiejszy stosunek polityczny dwóch sąsiednich narodów i państw: polskiego i niemieckiego.

„Jak świat światem, Polak Niemcowi nie będzie bratem". Dobrze, ale zarazem — jak świat światem, Polak i Niemiec byli i zostaną sąsiadami i dlatego muszą obaj dążyć do pokoju pomiędzy sobą. Zamieszczone przez nas tutaj reprodukcje z popularnych pism niemieckich dowodzą, że i tam, pod rządami A. Hitlera, świadomość potrzeby realistycznego a nie uczuciowego kształtowania się polsko niemieckich stosunków wyrabia się i rozwija.



Karta tytułowa ostatniego uumeru najpopularniejszego tygodnika niemieckiego „Die Woche" wychodzącego w Berlinie — poświęconego w przeważnej części zobrazowaniu dzisiejszej Polski.

Sensation in Genf

(E. Thöny

„Eine deutsch-polnische Friedenstaube? — Und wir haben es weder veranlassen noch verhindern können."

563

Z ostatniego numeru znanego tygodnika monachijskiego „Simplicissimus": „Sensacja w Genewie". — Wyfrakowani dyplomaci widząc w górze gołębicę pokoju z Orłem Białym i swastyką dziwią się: „Niemiecko-polska gołębica pokoju? A myśmy nie mogli aai tego spowodować, ani temu przeszkodzić".



Norddeutsche Ausgabe / Ausgabe A

35./36. Ausg. • 47. Jahrg. • Einzelpreis 20 Pf. Ausland 25 Pf.

Ausgabe A / Norddeutsche Ausgabe

Berlin, Sonntag/Montag, 4./5. Februar 1934

VÖLKISCHER BEOBACHTER

Kampfblatt der national-sozialistischen Bewegung Großdeutschlands

4./5. Februar 1934

Marschall Pilsudski für den Friedens-Nobelpreis vorgeschlagen

Die Universität Krakau richtete an die Nobelstiftung in Stockholm ein Telegramm, in dem sie die Kandidatur des Marschalls Pilsudski für den Friedenspreis vorschlägt. Begründet wird der Vorschlag mit dem Abschluß des Nichtangriffspaktes mit Deutschland und Rußland, an denen Pilsudski entscheidenden Anteil habe

„Völkischer Beobachter". czołowy organ narodowo-socjalistyczny w numerze z 4 i 5 b. m. zamieszcza podobiznę Marsz. Piłsudskiego, jako postawionego przez Uniw. Jag. kandydata do nagrody pokojowej Nobla.

GARVENS

Deutsch-polnische Verständigung

VÖLKERBUND

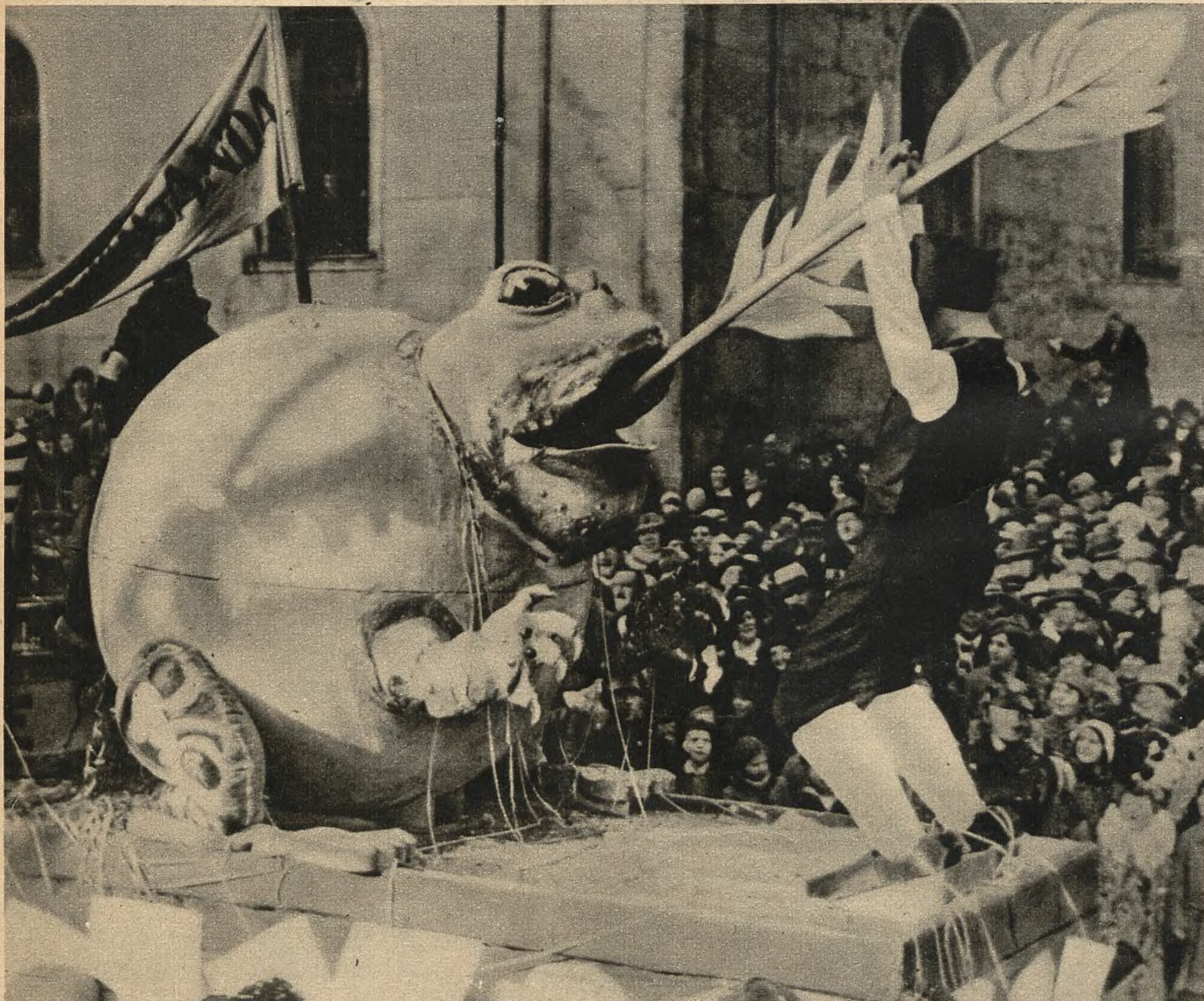
„Niemiecko-polskie porozumienie" w ilustracji popularnego niemieckiego tygodnika humorystyczno-satyrycznego „Kladderadatsch". Pod „stróżem nocnym" wyobrażającym Ligę Narodów, urywek z refrenem nocnej pobudki: Słuchajcie i przyjmijcie do wiadomości: Jest już pierwsza po północy.

PROPAGANDA NA WESOŁO.

Fragment pochodu karnawałowego w Monachjum: rozbrojona Francja.

W obecnych czasach niema rządu, któryby nie posługiwał się propagandą, w stosunkach tak wewnętrznych, jak i zagranicznych. Dzięki ogromnemu rozpowszechnieniu prasy, najszersze sfery społeczeństwa zajmują się żywo wszystkimi aktualnymi problemami. Z drugiej zaś strony ta propaganda ma dzisiaj do swojej dyspozycji różnorakie i potężne środki działania. Kino, przedewszystkiem zaś radjo, sięgające najbardziej w głąb społeczeństwa i przemawiające do niego najskuteczniejszym sposobem, bo żywem słowem — oto dwa główne instrumenty dzisiejszej propagandy. Do nich przyłączają się inne jeszcze. Więc propaganda drukowana, którą posługiwały się rządy i w dawniejszych czasach, inspirując przychylne dla siebie książki, czy broszury — więc odczyty i wszelkie zebrania i t. p.

Zwłaszcza rządy, które przeprowadzają jakąś gruntowną zmianę w ogólnej mentalności swego społeczeństwa, a chcą dla niej pozyskać także zagranicę, korzystają dzisiaj w szerokiej mierze z wszystkich możliwości propagandowych. Taką akcję na szeroką skalę prowadziły już dawniej Sowiety oraz Włochy faszystowskie, taką akcję ze zdwojoną jeszcze ruchliwością i pomysłowością prowadzą obecnie Niemcy hitlerowskie, gdzie na czele propagandy stoi dr. Goebbels. Pomysłowość urzędu propagandowego w Niemczech skorzystała nawet z... karnawału. I w dawniejszych latach w niektórych miastach niemieckich, zwłaszcza w Monachjum, odbywały się na zakończenie karnawału pochody uliczne, wśród których przesuwały się przez ulice miasta fantastycznie przybrane wozy z rozmaitemi grupami. Dawniej grupy te jednak miały niemal wyłącznie za cel wywołanie wesołego nastroju. Obecny rząd niemiecki korzysta z tej sposobności, by szerokim tłumom ulicznym pokazać „krzywdę“, jakiej doznają Niemcy z powodu traktatu wersalskiego oraz z powodu antyhitlerowskiej propagandy zagranicznej.



Propaganda okropności w pochodzie karnawałowym w Monachjum.







Lily Dorelle w uroczej czarnej czapeczce taftowej z odsłoniętem wysoko czołem.



Wieczorowa sukienka z czarnej tafty, bogato przybrana ryszami z tej samej materji i z białej organdi.



Młodociany kostjum z mięsistego jedwabiu szaro-niebieskiego z bluzeczką w barwny deseń kwiatowy.

przedwiośnie

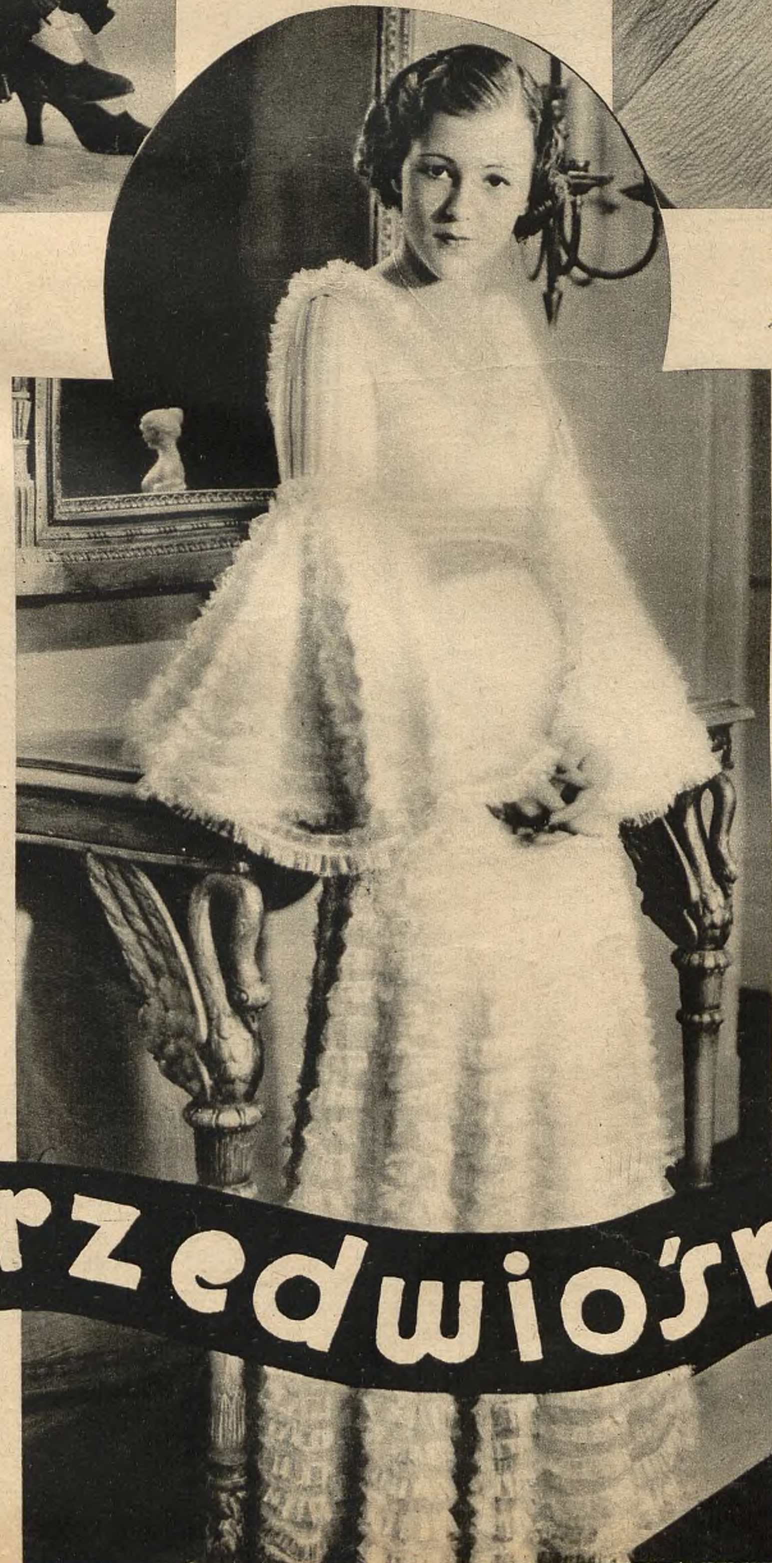
Wiosna w dziedzinie mody zaczyna już swe panowanie. Dyktuje zasadnicze narazie zmiany, czekając na pierwsze promienie słońca, aby ukazać swe „niewolnice“ przeistoczone znów i odmłodzone w wiosennym ubiorze.

Będzie to przedewszystkiem kostjum — spodniczka z żakietem i bluzka, lub spodniczka z płaszczykiem nawet i całkiem długim, lub też sukienka i płaszczyk. Ta ostatnia kombinacja, czyli t. zw. komplet pozwala tej wiosny na liczne urozmaicenia. A więc sukienka i płaszcz bywają z tej samej wełny, przyczem podszycie płaszcza jest z tej samej materji jedwabnej co i przybranie sukienki. Może też być zestawienie kantrastujące ze sobą całkowicie. A więc płaszcz ciemniejszy i gładki do barwnej sukienki w kratę, lub pasy, a im bliżej lata, tem więcej desenie przechodzić będą w formy kwiatowe, większe w tym roku niż dotąd bywało. Także i odwrotna kombinacja jest możliwa. Suknia gładka, a płaszczyk i przybranie sukienki z materjału w kratę większą lub pepito. Pomysłowa krawczyni może zestawić jeszcze inaczej nowe materjały, bo ich rozmaitość podsunie nowe pomysły.

Do nowych płaszczy i kostjumów ubierzemy nowe kapelusze o tendencji coraz wyraźniejszego odsłaniania czoła, co przydaje nowego wdzięku główce kobiecej, która może się w ten sposób ukazać w aureoli pukli włosów.

Wiosna przedłuża sukienki. Przedpołudniem nosi się najkrótsze, ale niezbyt krótkie, mniej więcej 20 cm. od podłogi. To jest nowo przyjęta miara. Sukienki popołudniowe są jeszcze dłuższe, wizytowe i dancingowe sięgają kostek, a wieczorowe spływają fałdami po ziemi, przedłużając się przeważnie w tren. Można powiedzieć, że w ten sposób moda idzie w kierunku coraz większego osłonięcia wdzięków kobiecych. Z karnawałem skończą się olbrzymie dekolty pleców, pozostaną więc wysoko pod szyję zapięte sukienki, dłuższe niż dotąd od lat bywało z rękawami do łokci... i z koniecznością noszenia rękawiczek. Nic dziwnego, że humor francuski pokazuje już w karykaturze grupkę nudystów entuzjazmujących się widokiem kobiety ubranej bardzo starannie w długiej sukience, zapiętej pod szyję.

Ale gdy przyjdzie lato, pozwoli nam chyba moda odsłonić ramiona i szyję pod dobroczynne działanie promieni słonecznych. Narazie zgadzamy się chętnie z tendencjami mody wiosennej. **J. Z.**



Młodociana sukienka wieczorowa przybrana tysiącem falbanek.

BAL DYPLOMACJI.

(L) Jedyny prawdziwie wielki bal dyplomatyczny w ubiegłym karnawale odbył się dnia 12 bm. w ambasadzie włoskiej. Hasłem był kostjum operowy. Bal udał się wspaniale, gromadząc w salonach ambasady elitę towarzyską stolicy. Kostjumy mieniły się tęczową barwnością, różnokolorowe kwiaty wspaniale przystrajały salony ambasady, zabawa, sięgająca wręcz bachicznego szału, trwała do białego dnia. Około godziny trzeciej nad ranem otworzono zaimprowizowany „chiński bar“, w którym działy się cuda-cudeńka...

Spróbujmy rzucić okiem na niektóre kostjumy. Przedewszystkiem więc uprzejmi gospodarze — ambasadorstwo Bastianini — uosabiali naczelne postacie opery „Franciszka z Rimini“, jego ekscelencja jako Paolo, jej ekscelencja — jako Francesca (projektowane przez art.-mal. Węgierkową). Olśniewający kostjum ze srebrnej lamy zdobił małżonkę ambasadora francuskiego panią Laroche, która była „Kopciuszkiem“ (już oczywiście w fazie finałowej), z włoskiej opery pod tymże tytułem („Cenerentola“). Parę z „Traviaty“ ucieleśniali ambasadorowie angielscy: sir William Erskine był Alfredem (tak samo zresztą jak pos. węg. Matuszka), a Lady Erskine — Violettą. Ich starsza córeczka Romola była Toscą, jedną z kilku. Bardzo ładnie w tym samym kostjumie było córce attaché wojskowego ambasady amerykańskiej — pannie Gilmor. Gdy zaś już jesteśmy przy „Tosce“, stwierdźmy, że był tu także niejeden Scarpio. Dobrze wyglądał w tym kostjumie zwłaszcza hr. K. Przeździecki. Licznie reprezentowana była także „Aida“. Podobały się w tym kostjumie szczególnie Al. hr. Zamoyska i ks. Sapieżanka, którym sekundowała jako Amneris — hr. Gavirani. Zauważyliśmy jeszcze kilka par operowych. A więc z „Balu Maskowego“: ks. Sapieżyna była „hrabiną“, natomiast jako Riccardo figurował Wł. ks. Czetwertyński, z którym argentyński chargé d'affaires Caballero (jako jeden z „Trzech Muszkieterów“) stoczył pojedynek ściśle w stylu operowym. Dalej para z „Lakmé“: w roli tytułowej małżonka sekretarza ambasady francuskiej pani Arvengas, a jej małżonek, jako Gerald... małżonka attaché morskiego ambasady francuskiej pani Papillon, jako „Turandot“, a mec. Gliński, jako Kalaf... Zofja hr. Potocka, jako „Carmen“ (jedna z wielu), a Leon ks. Radziwiłł jako torreador... radca ambasady włoskiej Ballardi-Ricci z małżonką personifikowali parę z opery „Carmen“ (jedna z kilku), a Leon ks. „Noc w Wenecji“ (znaną operetkę) obrała sobie jako temat małżonka posła greckiego pani Politisowa, której małżonek zjawił się jako kawaler des Grieux z „Manon“ (to samo uczynił Alfred hr. Potocki). „Henrykiem VIII“ był poseł rumuński Cadere, podczas gdy poseł finlandzki Idman obrał sobie za temat „Dreimäderlhaus“. Tłem kostjumu małżonki posła węgierskiego, pani Matuszka, była opera włoska „Matrimonio segreto“, małżonki podsekretarza stanu w M. S. Z. hr. Szembekowej: „Cosi fan tutte“ Mozarta, a sekretarza ambasady francuskiej hr. de Montferrand — opera bretońska „Les noces de Jeannette“. Jedyną reprezentowaną operą amerykańską był „The man of Masula“. Kostjum z niej nosił ambasador amerykański Cudahy.

Kogóż jeszcze wymienić? Wszystkich niesposób, ale trudno pominąć jeszcze szereg bardzo pięknych kostjumów. Piszmy więc dalej: oto sekretarz ambasady angielskiej Loxley, jako „Parsifal“, R. hr. Przeździecki jako „Emir z Bagdadu“, pani Clarke jako „Arabella“, córka posła chińskiego Li Jung-Kwei jako „Meksykanka“, attaché handlowy ambasady włoskiej Pietrabissa, jako Lorenzo di Medici z „Uczty szyderców“, attaché prasowy ambasady włoskiej Suster, jako Rudolf z „Cyganerji“, a jego małżonka jako „Lucrezia Borgia“, Andrzej hr. Tyszkiewicz jako „André Chenier“, B. hr. Tyszkiewicz jako „Książę Guise“, jego małżonka jako królowa Bona z „Zygmunta Augusta“ Joteyki, radca poselstwa niemieckiego Schlippe, jako „Borys Godunow“, Adam hr. Romer, jako Pluton z „Orfeusza w Piekle“, Stefan hr. Tyszkiewicz jako „Eugenjusz Onegin“... Na tem koniec: trudno przecież wyliczyć kostjumy przeszło 200 zaproszonych osób, zwłaszcza, iż wszystko tak wirowało i kłębiło się dookoła, że ani wszystkiemu się przyjrzeć, ani zapamiętać, ani zanotować nie można było... W każdym razie wrażenie pozostało niezapomniane.



P. Laroche, żona ambasadora francuskiego i hr. Rossi Scotti.



Ambasador włoski Bastianini z małżonką.



Madame Guillobel, żona brazylijskiego chargé d'affaires i p. Cabellero, argentyński chargé d'affaires.



Radca Ambasady włoskiej Bellardi Ricci z żoną.



Księżna Maciejowa Radziwiłłowa.



FILM



UROK ZAMYŚLENIA.

Natura obdarzyła Claudette Colbert niezwykle pięknemi, choć smutnemi oczyma. Piękną tą artystkę widzieliśmy w Polsce w znakomitym filmie p. t. „Gasnące płomienie" z Clive Brookiem. — Zwróciła ona powszechną uwagę swoją skupioną, pełną dynamicznego spokoju grą. W bieżącym sezonie grała ta znakimita francuska artystka w kilku amerykańskich filmach, które będziemy mieli sposobność oglądać także w Polsce. Zdjęcie, które reprodukujemy, przedstawia Claudette Colbert w pięknej pozie z filmu „Królowa hallu".

PÓŁ GODZINY Z BODO I WASZYŃSKIM.

Dość dużą sensację w światku filmowym wywołał fakt, że poraz pierwszy wytwórnia zagraniczna postanowiła nakręcić całkowicie pierwszy swój film w Polsce. I to w dodatku wyłącznie siłami krajowemi. Dotychczas bowiem, jak sobie przypominamy, wytwórnia amerykańska Paramount zrealizowała szereg filmów dźwiękowych w języku polskim, ale próby te skończyły się niepowodzeniem i wytwórnia zaniechała dalszej produkcji. To też na wiadomość, że wytwórnia Universal nakręca film w Polsce z udziałem naszych czołowych sił artystycznych, postanowiliśmy zrobić „wycieczkę w nieznane“, aby złapać aktorów i reżysera „na gorącym uczynku“ tworzenia filmu. Nie tak łatwo jednak dostać się do atelier. Już na samym wstępie wielkie „stop — zachować ciszę“ bije czerwienią w oczy. Znaczy to, że mikrofon jest włączony i że najlżejszy szmer dociera do jego czułego ucha. Po pewnym czasie lampka gaśnie i przez cały szereg budowli, przypominających kulisy teatru, docieramy do głównej sali zdjęć. Mamy szczęście, gdyż trafiamy na dwie główne gwiazdy filmu: Eugenjusza Bodo i Lodę Halamę.

Wraz z reżyserem Waszyńskim, który w roku bieżącym osiągnął rekord w realizowaniu filmów pod jego kierunkiem, omawiają już następną scenę. Bo czas jest drogi w atelier — każda minuta kosztuje dziesiątki złotych. Bodo jest we fraku i wraz z Halamą szukują się do czułej sceny w buduarze.

„Ach, jak to cudownie, żeś przyszedł“...

„Stop — przerywa reżyser Waszyński — zamało uczucia, serca, serca więcej“.

Scena wobec tego powtarzana jest od początku, aby wykazać „więcej serca“ ze strony Halamy. Wprawdzie przy scenie tej po powtórzeniu przygodny widz jest zachwycony, jednak mixer dźwiękowy zawsze wynajdzie coś niewyraźnego, syczącego, lub niedobrego. Nic dziwnego, są oni przecież „uchem“ przyszłej publiczności, a ta jest bardzo czuła na dźwięk. Po paru próbach dopiero zapalają się wszystkie reflektory, „gotowe? — łączyć“, mikrofon buczy, aby zachować ciszę — początek zdjęć.

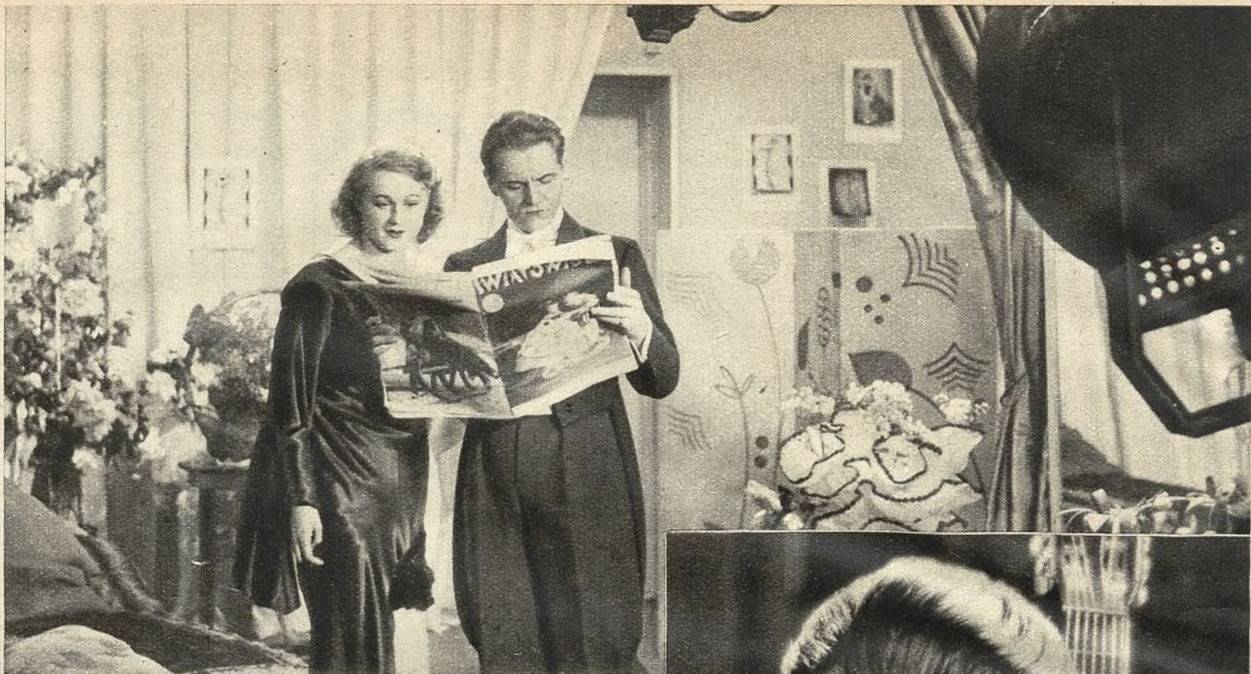
Na tak zwanym „murzynku“, czyli zwykłej czarnej tablicy, wypisany jest kredą djalog, aby aktorzy nie „sypnęli“ się przypadkiem, lub nie zapomnieli tekstu.

Szczęśliwie dobrnęliśmy do końca sceny. Reflektory gasną i możemy nawiązać rozmowę z Bodo, Halamą i Waszyńskim, podczas gdy personal techniczny przygotowuje nową scenę do następnych zdjęć.

Bodo realizuje już drugi film w tym miesiącu. Pierwszym filmem, który już ukończył, jest „Pieśniarz Warszawy“.

— Czy to prawda, że Pan sam napisał scenarjusz do tego filmu?

— Ja. I nie robię z tego tajemnicy. Wzorowałem się na ślicznych i melodyjnych filmach w których występowali tacy pieśniarze, jak Chevalier i Frejean. Nie znaczy to jednak, że scenarjusz stoi w jakimkolwiek związku z treścią tych filmów, jest on zupełnie oryginalny i ma bardzo dużo efektownych pomysłów. Mam możność „wyśpiewać“ się w nim. Zresztą konstrukcja scanrjusza nie jest zupełnie nastawiona na to, aby wysunąć mnie na plan pierwszy. Wraz ze mną występują: Basia Gilewska, Znicz, Gorczyńska. — Wszyscy oni będą mogli się wygrać. W filmie, który dziś nakręcam, dzielę swoją rolę z Halamą, która według mego zdania jest rewelacją dla filmu.



Loda Halama i Bodo oglądają „Światowida“.

Zkolei zwracam się do Waszyńskiego — jako reżysera.

— Jaki będzie tytuł filmu? — pytam.

— „Kocha... lubi... szanuje?...“ — tytuł bardzo oryginalny, scenarjusz również ciekawy. Bodo i Halama grają główne role, a wraz z niemi do głównej roli pretenduje... kryzys. Tak, kryzys, gdyż głównym tematem filmu jest właśnie to utrapienie ludzkości i związane z niem perypetje dwojga kochających się serc.

— Kto z aktorów jeszcze występuje w filmie?

— Walter, Gierasiński, Pogorzelska i Tom z bardziej znanych nazwisk. Mogę jeszcze dodać, że bardzo miła muzyczka ilustruje szereg piosenek, śpiewanych przez Bodo i Halamę“.

Podczas gdy fotograf ustawia aparat, Bodo i Halama oglądają ostatni numer „Światowida“, na której to czynności łapie ich niedyskretne oko objektywu. Bodo mówi, że tak się zainteresował fotografjami, że zapomniał upozować się do zdjęcia i wyraża obawę o przyszły fotos. Uspokajam go, że już w najbliższym numerze będzie się mógł zobaczyć i asystuję „na niemo“ przy następnej scenie filmu, podczas której Bodo śpiewa przy dyskretnym akompanjamencie orkiestry Warsa, ukrytej za kotarami, śliczną piosenkę „Kocha... lubi... szanuje:::“, która jest przewodnią melodją filmu.

Reiu.



Bodo z gitarą.

SKĄD TU WZIĄĆ POMYSŁ?

Biedzą się nad tem nasi najmilsi komicy Flip i Flap i mimo, że zgromadzili wokół siebie kilka pięknych doradczyń, nie mogą jakoś dojść do ładu. Scenarjusz, jak scenarjusz, jeszcze pół biedy, ale muzyka do filmu, dobra piosenka, którąby wzięła publiczność, to dopiero problem. — Nie wiadomo, „czy instrument nie strojny, czy się muzyk myli“, dość, że Flip zafrasował się nie na żarty, myśląc o żartach.

Flip i Flap tworzą klasyczną parę komików filmowych, doskonałych w swoim szlachetnym humorze. Są oni przeciwstawieniem dawnych, może zbyt trywialnych a nieraz błazeńskich dowcipów, któremi nas raczyli Pat i Patachon i cała falanga innych komików. Znakomite pomysły, nad którymi pracują najlepsi humoryści amerykańscy, są przykładami świetności nieomal szekspirowskiego humoru. W ostatnim swoim filmie „Fra Diavolo“ dali oni niezbity dowód, że są dziś pierwszymi z pośród pierwszych. Czemże nas znowu obdarzą ci przedstawiciele piękniejszej, bo weselszej części życia, cóż nowego wymyślą biedząc się przy pianinie?



Flip i Flap w otoczeniu girlsów.

Adres: **T. B. O. Gdynia** — to adres: twój przyszły domek, Gdynia.

„T. B. O.“, czyli „tebeo“ — to znaczy
gdyńskim: buduję.

LWOWSCY FILMOWCY PRZY PRACY.

Stanisław Lipiński przy kamerze.

Lwów, w lutym.

Stanowczo Lwów nie ma szczęścia pod względem filmowym. Każde przedsięwzięcie, czy impreza filmowa zaczęta we Lwowie — niemal z reguły bierze w łeb i kończy się kompletnem fiaskiem. I nic bynajmniej nie wpływa na to, że ze Lwowa wyszło wiele głośnych i sławnych na całym świecie artystów filmowych, jak Clara Bow, Paweł Muni (bohater szeregu filmów gangsterskich), dalej wielki realizator Ernest Lubitsch, wreszcie szereg „gwiazd“ polskiego filmu, jak Zosia Batycka, Marja Bogda, Zofja Koreywo, Adam Brodzisz, Jerzy Marr, Tadeusz Kański i in. Lwów pod względem filmowym pozostaje zawsze... grobem szeregu rozpoczętych filmów, czy zamierzeń z dziedziny X muzy.

Obecnie sytuacja nieco uległa zmianie. Przyczynili się do tego młodzi, pełni zapału realizatorzy i operatorzy filmów krótkometrażowych. Po zrealizowaniu w roku ub. przez Radulskiego krótkometrażówki „Generalna próba“ i jej sukcesie — lwowscy krótkometrażowcy nabrali odwagi i chęci do pracy. Wkrótce potem zasłużony wielce pionier filmowy i świetny znawca techniki prof. Adam Lenkiewicz nakręcił reportaż w Karpatach.

Obecny rok zastał wszystkich lwowskich filmowców przy wytężonej pracy. Nadewszystko znany nie tylko z filmu, ale głównie z teatru jeden z najzdolniejszych reżyserów teatralnych, Wacław Radulski, wraz z operatorem Słoniewskim, przystępują w najbliższym czasie do zrealizowania krótkometrażówki pt. „Polka rach-ciach-ciach“. Będzie to folklorystyczny, pełen werwy i życia, wraz z bogatą ilustracją dźwiękową film, służący jako objekt szeregu doświadczeń do wielkiego obrazu folklorystycznego, osnutego na tle wodewilu H. Zbierzchowskiego pt. „Porwana narzeczona“, jaki Radulski w lecie br. będzie nakręcał.

Ożywioną wielce pracę rozpoczął, powróciwszy z Paryża, Stanisław Lipiński, znany już ze swych prac we Francji, jako współtwórca wraz z Antonim Bochodziewiczem krótkometrażówek: „Dłuto i pendzel“, „45 kilometrów za Paryżem“, wreszcie „Fabryki światów“ (film osnuty na tle życia radjostacji paryskiej). — Obecnie Lipiński nakręca dwa filmy: „Wizytę“ wraz z Romanem Turynem (realizacja), w którym odkrywa nowy, nieznany Lwów — przed-

Wacław Raoulski.

„Fabryka świateł“ — film k… trażowy.

„Pogrom Micky Mouse“ — scena z filmu krótkometrażowego Jana Jarosza.

mieść, oraz film reportażowo-folklorysty
realizacji Henryka Breita pt. „Boże Narod
na Huculszczyźnie“. Po ukończeniu tych
filmów przystępuje do nakręcenia obrazu
ghetta żydowskiego.

Jednakże bodaj największe zaintereso
dzi komedja rysunkowa doskonałego
rzysty lwowskiego Jana Jarosza. Kom
p. t. „Pogrom Mickey Mouse“, opiewa ni
wite przygody małej myszki Micky, któr
maite polskie potworki wypędzają z naszych
nów. Zarówno niebanalna koncepcja, jak
nanie każą przypuszczać, że „Pogrom M
se“ będzie pierwszą polską komedją r
na europejskim poziomie. Dodać należ
rosz przed dwoma laty jako pierwszy
nakręcił komedję rysunkową „Przygod
która skutkiem nieudźwiękowienia, nie
świetlana do tej pory. Obecnie jednak zo
ją niebawem na ekranach Polski.

Niebawem rozpoczyna swoje prace nad fil
z dziedziny lotnictwa szybowcowego (o char
rze propagandowym) prof. Lenkiewicz, przy
zdjęcia dokonywane będą w Czerwony
niu i w Bezm

Lwów filmo
swej dotychcz
nji — pracuje
żem tempie.
czalnie do kon
go sezonu fil
ekranach P
się jakieś 5—
trażówek lwo
danej chwili w
stanowi obok
i Krakowa — n
ośrodek produk
mów krótkometr
wykorzystując
sposób doskon
junkturę polski
kometrażówki.

J. Radzin

Jan Jarosz.



ANACONDA

SCENY Z FILMU
„ANACONDA"











węzów-olbrzymów, spotykanych już tylko w egzotycz-
krajach, pierwszeństwo należy się anacondzie.
ąż ten żyje do dziś dnia w niezbadanych jeszcze dokładnie ło-
rzek Amazonki i Parany. Ta właśnie egzotyczność tego
skłoniła kompanję filmową do nakręcenia w Matto
razylijskiem autentycznego filmu, w którymby olbrzym
wał rolę jednej z najważniejszych „osób" działających.
ej kompanji Juan Berrone zorganizował rok temu
tych dziewiczych okolic. Trzeba było na małym
słabym tonażu przebyć około 2.000 km. rzeką Amazonką,
ć się do samego serca dżungli brazylijskiej. Opuściwszy
, uczestnicy wyprawy musieli z mozołem wycinać sobie wą-
ścieżki wśród gęstwiny olbrzymich ljan i drzew, pod żarem
ącego słońca. — Przez sześć miesięcy pozostawali w tej
ngli, odcięci od reszty świata, tak, że nawet rozchodziły się już
łoski, jakoby zginęli. Co prawda, to niejednokrotnie bliscy byli
łady. Na drodze swej napotykali szczepy Indjan, wrogo prze-
ko wszystkim „białym" usposobionych, nieraz nawet nawpół
żerców. A jednak zdołali pozyskać ich zaufanie i żyć pomię-
mi, po tradycyjnej ceremonji, zmieszania swojej krwi
ą tubylców. Bo pamiętajmy, że jedyny ich poprzednik
ich czasów, kapitan Fawcet, wyprawiwszy się w r. 1925
rony, zaginął zupełnie bez wieści.
nicy obecnej wyprawy nakręcali w tem otoczeniu całe
ogromnie zajmujących scen z życia i obyczajów Indjan.
arjusz filmu wymagał jeszcze jednego, bardzo trudnego
anacondy. A z olbrzymem tym niełatwa była sprawa.
niekiedy długości 13 metrów i może pożreć całego wołu,
nie pozostawia nic, jak tylko rogi. Widać te rogi nie-
gęstwinach dżungli brazylijskiej, jako „kartę wi-
ów, które tutaj swój głód zaspakajają. To też
u scen z anacondą nie obeszło się bez groźnych wy-
. Rena Mandel, najpiękniejsza uczestniczka wyprawy fil-
j, czterokrotnie z prawdziwym heroizmem zetknęła się z tym
n. Jeden z aktorów znowu został pogryziony przez anacondę;
szczęście, że ukąszenia tego węża nie są śmier ne.
prawa, wracając do Europy, wiozła z sobą kazów
i flory brazylijskiej — niestety anaconda.
widocznie klimatu europejskiego,
dące rezultatem niebezpiecznej ek ją
i dzikoś

...UBOULE — KRÓL ŚMIECHU.

Paryż, w ...tym.
... Milton, znany na całym ...ko Bouboule, najpopular-...omik we Francji, jeden ...j płatnych aktorów, w ży-...atnem jest pełen prostoty. ...się do niego bardzo łatwo. ... przyjść do teatru Moca-... po raz ...ty występ-...tce „Oberża pod bia-...", wyreżyserowanej ...a — spytać się o „Mon-...n", a woźny uprzejmie ...maczy, że to na pierw-...ze, na prawo. Bez żadnych ...w, sprawdzania tożsamo-...nia uzyskania przedtem ...e „rendez-vous", zwyczaj-...tu staję przed drzwiami ...oznaczonemi skromną ...ką z nazwiskiem Miltona. ...dzie ktoś dbały o porządek ... czerwoną kredką wielkiemi ...mi: „Bouboule", żeby zabłąka-...rzybysz przypadkiem nie miał ...ch wątpliwości.

...am, czekam, Milton wraca ze sceny w kostjumie tyrolskim z filuternem piórkiem na kapelusiku, uśmiechnięty i błyszczący ze zmęczenia.

— Urodziłem się w Puteaux, nie wie pani gdzie to jest? Blisko Lasku Bulońskiego, tylko, że nie od strony Paryża. Gdy miałem dwanaście lat, już się kręciłem koło teatru w Puteaux. Marzyłem o scenie. Moi koledzy mówili, że umiem odwalać kawały, jak nikt. Gdy się ma dwanaście lat, wierzy się przyjaciołom. Ale dyrektor teatru był odmiennego zdania. Przedewszystkiem miał specjalne zdanie o zawodzie aktorskim. Mówił, że przedewszystkiem trzeba czekać. A potem... też nie zaszkodzi jeszcze trochę poczekać. I w międzyczasie, kto wie, może też trzeba będzie czekać.

— I doczekał się pan prędko?

— Ktoś zachorował, nie było nikogo, by go zastąpić. A ja przecież co wieczór warowałem za kulisami i całutką rewję umiałem na pamięć. Nie było innej rady, musieli mnie puścić na scenę. I miałem sukces. Śpiewałem całem sercem, że aż przejęta publiczność rozśpiewała się przy refrenie. To był początek, potem to stało się modą, wspólne śpiewanie aktora z publicznością.

— A potem? Kiedy pan stał się „Bouboulem"?

— Występowałem przez wiele lat w rewjach i operetkach: chciałem, marzyłem, by umieć grać tak, ja... wielki Dranem... ...y nie umia-... ...naślado-... ...go zim-... ...gry ko-... ...przecież ...przejmu-... ...r-

wesołość. Ale pracowałem nad sobą bardzo: śpiew, taniec, rytmika, sporty. I nigdy nie opracowuję żadnego efektu. Jeśli nad czemś się zabardzo namyślam, nie wyjdzie dobrze, jeśli spontanicznie, jest sukces. Taksamo z filmem: podczas prób opracowane najlepsze tricki na zdjęciach wychodzą blado. A jeśli w trakcie zdjęć przyjdzie mi jakoś pomysł, gram tak, jak czuję i zawsze wypada dobrze. Na scenie zaś nigdy nie gram stale jednakowo. Możnaby przecież oszaleć, gdyby tak przez te 650 wieczorów wykonywać te same gesty, taksamo śpiewać; coraz to przychodzi coś nowego do głowy, próbuję tak grać, uda się — adoptuję nowy trick, a gdy nie znajduje on reakcji u publiczności — następnego wieczoru gram znów inaczej...

— Czy grał pan kiedyś w filmach niemych?

— Nie. Mój pierwszy film to był „Lex roi des Resquilleurs" i odrazu miał szalone powodzenie. A jak się film uda, to na tem wszyscy korzystają, bo to niby wszystkich zasługa. Więc i ja się spodobałem i potem grałem innego króla „Le roi du Cirage". Zresztą mój najdroższy film, który ukończyłem przed tygodniem, też ma tytuł królewski: „Król Bubul I-szy". To takie połączenie moich dawnych tytułów filmowych, po różnych królach (w Polsce „Król Bulwarów"), po „Bandzie Bubula", teraz jestem znów królem, ale... murzyńskim, bo rzecz dzieje się w Afryce, ale nie przestałem być Bubulem...

— Skąd się wzięła ta nazwa?

— To Chevalier dał mi to przezwisko, uważając, że żadne inne do mnie nie pasuje. I przyjęło się. Rodzina, przyjaciele, znajomi i nieznajomi inaczej mnie nie nazywają, tylko „Bouboule".

— Tak się pan zaadoptował świetnie w kinie, a jednak zawsze wraca pan do teatru? I czemu?



George Milton (Bouboul), popularny śpiewak paryski, przesyła pozdrowienia dla „Światowida".

— Zawsze się zwraca do punktu wyjścia — mówi Milton sentencjonalnie. — Zresztą, czy można ciągle robić film jeden za drugim? Za szybko znudziłbym się... Dopiero zimą zrobiłem film „Nu comme un ver" („Goły, jak robak"), a teraz ten film chyba wystarczy jeden na pół roku?

— Jaka jest najulubieńsza pańska piosenka? — pytam ciekawie i nie bez powodu. — I słyszę przyjemną odpowiedź, zresztą zaśpiewaną:

— C'est pour mon papa' — A przecież wiadomo, że napisał ją Polak, najpopularniejszy kompozytor we Francji, Kazimierz Oberfeld.

Alicja Brun.

GRETA GARBO WYSZŁA ZAMĄŻ.



Greta Garbo jako „Królowa Krystyna" rozmawia z swoim mężem Rouben Mamoulianem.

Greta Garbo przez długi czas nie miała jakoś szczęścia ani do reżyserów, ani do zamążpójścia. Jej filmy, w których tworzyła najświetniejsze kreacje, nie miały wielkiego powodzenia z winy słabej reżyserji. Wreszcie jednak, jak się dowiadujemy, trafiła na swojego wybrańca losu, który został jej mężem i reżyserem na całe życie. Tak się to przynajmniej mówi, ale jak wiemy, małżeństwa gwiazd filmowych są kruche. Trudno więc przewidzieć, jak długo potrwa ta idylla. Wiadomość o nowym związku małżeńskim przyjęto na całym prawie świecie z zainteresowaniem, w jednych tylko Niemczech z wyraźną niechęcią. — Rzecz jest aż zanadto zrozumiała ze względu na pochodzenie Roubena Mamouliana, który bynajmniej nie może się pochlubić czysto nordyską

„Z KAMERĄ FILMOWĄ NA ALASCE".

Reżyser filmowy Van Dyke pisze o pracy przy nakręcaniu filmu „Eskimo".


Nunoorok, tłumacz ekspedycji w otoczeniu członków wyprawy.

III.

MORALNOŚĆ PÓŁNOCY.

Bez samolotów, nakręcanie filmu musiałoby trwać 3 albo 4 lata. Odległości na Północy są wielkie. I tak, sceny na okręcie kręciliśmy w pobliżu Teller, białe niedźwiedzie filmowaliśmy o 500 m. dalej, sceny z reniferami o 200 mil w zupełnie innym kierunku, a sceny z psami morskimi na wybrzeżu syberyjskiem. Lód posiada stanowczo za dużo chytrości i podstępu. Gdy śledziliśmy z aparatem filmowym morsy, lód załamał się pod Joe Sauersem, Bobem Robertsem i Royem Clarkiem. Zwiodły ich morsy. Na szczęście mieliśmy Eskimosów pod ręką, którzy wyciągnęli w porę tych nieszczęśników. Byli oni zupełnie przemarznięci, to też szybko dostawiliśmy ich zpowrotem na okręt. Ciepłe koce, duży łyk whisky dla każdego zrobiły swoje, tak, że wszyscy wyszli cało z tej przygody. Kiedyś znowu jeden z Eskimosów naszego obozu odmroził sobie rękę. Uderzył zmarzniętą rękę trzonem włóczni i wszystkie palce rozprysły się jak szkło.

Eskimosi są dla mnie najciekawszym i najmilszym narodem, jaki kiedykolwiek znałem. W tym kraju, gdzie panują niemal wieczne mrozy, gdzie każdy człowiek albo sam się zabija, albo zostaje zabity — mieszkańcy nie mają właściwie niczego, coby im mogło dać szczęście. Mimo to jednak są szczęśliwi. Całe życie Eskimosa jest walką słabego człowieka z naturą. Eskimosi zabijają olbrzymie zwierzęta, aby mieć z nich pożywienie, walczą z burzami, wichrami i mrozem, a na dobitek często są oszukiwani przez białych handlarzy. Ich mowa i zwyczaje życiowe są prymitywniejsze od tych, jakie mają mieszkańcy afrykańskich lasów dziewiczych. I w tem bezprawiu, w którem żyć muszą Eskimosi, urobili sobie własną moralność, dziką i pierwotną, jak ich życie. Dlatego dla nas ich życie i pojęcia mogą się wydawać niemoralne. Dla Eskimosa kobieta jest równie niezbędna, jak jego pies. Mężczyzna u Eskimosów bez kobiety jest zupełnym kaleką. To też nieraz zdarza się wśród przyjaciół, że jeden z nich pożycza swą żonę drugiemu, skoro ten ostatni owdowiał. Na ten temat nie dochodzi nigdy pomiędzy Eskimosami do sprzeczki.

Najbardziej ze wszystkiego boją się Eskimosi ognia. Ogień jest sprzymierzeńcem zimna, niszczy bowiem domki śnieżne. Również wielkiem niebezpieczeństwem jest wścieklizna psów. Bez psów Eskimosi nie mogą polować i są niemal skazani na śmierć głodową. Podczas naszej bytności, epidemja wścieklizny wytępiła wszystkie psy na wyspie Księcia Walji. Wtedy to władze zajęły się zaopatrzeniem szczepu w żywność. Wogóle przedstawiciele władz bardzo troskliwie odnoszą się do Eskimosów. Dają im szkoły, pomoc lekarską i pożywienie.

Ubranie Eskimosów jest zrobione z futer, szytych przez kobiety. Eskimosi noszą również mukluki, czyli futrzane trzewiki z futrem wewnątrz. Pozatem noszą dwie pary futrzanych spodni, jedne futrem na wierzch, drugie futrem do środka. Wkońcu Eskimos kładzie na siebie t. zw. parkę, albo kaket, czyli burkę futrzaną, również uszytą z podwójnego futra. Aby uszyć to ubranie, kobiety eskimoskie muszą najpierw wygryźć ze skór wszystkie ścięgna. Na tej pracy tracą przeważnie wszystkie zęby i później nie mogą przeżuć mięsa, które, czy to gotowane, czy surowe, stanowi główną potrawę w krajach północnych. Dlatego też kobiety nie żyją przeważnie długo. Również i mężczyźni, którzy przez całe życie narażeni są na przeróżne niebezpieczeństwa, nie dożywają późnych lat.

Skoro lody rozpoczynają tajać, zjawiają się w krajach północnych handlarze futer i kości psów morskich. Po odwiedzinach tych zazwyczaj Eskimosi wzamian za swe łupy myśliwskie zostają zaopatrzeni w broń i nowoczesne narzędzia. Na wyspie Teller jakiś szczęśliwiec dostał od białego handlarza łódkę motorową wzamian za swój skórzany kajak. Gdy zbliża się zima, Eskimosi wieszają mięso i złowione ryby na kozłach, tak wysokich, aby nie dosięgły ich psy i aby mięso dobrze zamarzło. Potem w miarę potrzeby odcinają kawały mięsa i albo je gotują, albo też zjadają na surowo. Mięso psów morskich, reniferów, niedźwiedzi, łososi, dzikich kaczek, oraz tłuszcz wielorybi, lub tran, a czasami mięso wielorybie — stanowią pożywienie Eskimosów. Każdy mieszkaniec wsi ma kilka par reniferów. Dają one mleko, a skóry zużywa się na ubrania.

Nic dziwnego, że wśród tak ciężkich warunków bytowania, niema miejsca dla ludzi słabych. To też w niektórych wsiach, ludzi starych, będących ciężarem dla całego szczepu, zamyka się w śnieżnej chacie, zaopatruje się w pewien zapas żywności i oddaje się ich na ofiarę śmierci.

Kobiety są wszędzie kobietami, nawet na dalekiej Północy. To też skoro kobietom eskimoskim pokazaliśmy kilka pism ilustrowanych z fotografjami artystek filmowych, szalały poprostu i chciały koniecznie przystosować się do mody, panującej w cywilizowanych krajach. Lękam się jednak, że osiągnęło to niewielkie rezultaty. Skóra reniferów jest gruba, zresztą zbyt głęboki dekolt, stosowany w tualetach naszych pań, jest zupełnie nieodpowiedni dla północnej temperatury.



CZARODZIEJSKIE MIASTA.

Film nie zna przeszkód, nie liczy się bowiem ze środkami materjalnemi. Ołówek reżysera, czy dekoratora kreśli na świstku papieru najfantastyczniejsze plany jakichś nowych ogromnych miast, które już w kilka dni potem, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej wyrastają wokół atelier filmowych. Oglądamy więc w filmach drapacze chmur i piramidy egipskie, świątynie indyjskie, czy też średniowieczne miasta, pełne krętych zaułków. Wszystko to jest dziełem całej armji architektów, dekoratorów i malarzy, których zatrudnia dziś każda wytwórnia. Minęły bezpowrotnie te czasy, kiedy operator filmowy, chcąc zrobić zdjęcie uliczne, musiał zmagać się z niesłychanemi trudnościami, starać o pozwolenia i wkońcu nie osiągał w pełni pożądanego rezultatu. Tysiące lśniących aut pędzi po błyszczącym asfalcie. wczoraj dopiero położonym na ulicach Hollywood. Jutro być może zburzy się to wszystko, podobnie jak rozbiera się dekoracje teatralne na to, by w temże samem miejscu zbudować np. ruiny Kartaginy.

Nietylko jednak bogata Ameryka pozwala sobie na tak kosztowne dekoracje. Dziś w Europie mamy bardzo wiele wytwórni, które olbrzymim nakładem pracy nadążyły za amerykańską techniką i pod Paryżem, Berlinem, czy Londynem budują całe miasta filmowe, zamieszkiwane przez ludzi jedynie podczas zdjęć. Zdjęcie nasze przedstawia właśnie taką dekorację, wybudowaną w Elstree, zwanem powszechnie angielskiem Hollywood, dla filmu p. t. „Królowa". Staroniemieckie romantyczne miasteczko zostało odtworzone do najdrobniejszych szczegółów, wraz z pięknym rynkiem i charakterystyczną studnią.



„HOPLA!“

Oto jest tytuł najnowszego amerykańskiego filmu z Clarą Bow, którego akcja rozgrywa się przeważnie w małych teatrzykach, w tingel-tanglach i barach. Rudowłosa piękność kreująca główną rolę czuje się tu w swoim żywiole. Znalazła wreszcie pole do popisu dla swojego żywiołowego temperamentu. Clara Bow znana jest nietylko jako znakomita aktorka, ale także dla swojej lekkomyślnej, wprost niebywałej rozrzutności. Sprawia ona swoim wielbicielom królewskie prezenty, które ją niejednokrotnie rujnują. Mimo więc swojej niezwykle wysokiej gaży, znajduje się często w kłopotach materjalnych. Ale za to jakże czarujący jest ten wesoły, rudowłosy lump.

Poradnik kosmetyczny.

LUDWIK TOMASZEWSKI, BRZEŚĆ n/B.

Adresy lekarzy-chirurgów wysyłamy Panu na adres prywatny.

PANI W. D. WARSZAWIANKA.

Naturalną zupełnie rzeczą jest fakt, że stosowanie przez cztery lata spirytusu salicylowego do mycia twarzy rano i rezorcynowego do mycia wieczorem wysuszyło skórę Pani. Masek nie radziłabym Pani stosować jednak. To trochę zawcześnie jak na Pani wiek. — Ponieważ używa Pani wyrobów kosmetycznych firmy Elizabeth Arden — to miejmy nadzieję, że w krótkim czasie nastąpi znaczna poprawa. Tylko dodałabym do codziennych zabiegów namaszczanie oliwą, która ma własności głębokiego przenikania Muncle 0 i 1, oraz pod oczy zastosowałabym specjalny krem odżywczy na noc Eye Cream.

PAN W. W.

Jeżeli stosował Pan kremy i pudry na łojotok głowy to zapewne przekonał się Pan, że nie przyniosły one żadnej poprawy. Co do podanej przez Pana recepty, to jest zamoc ze względu na wielką i nieproporcjonalną ilość tinctury cantharida. Podajemy Panu przepis na środek przeciwłupieżowy z zastrzeżeniem, że na odległość trudno bardzo wogóle pisywać recepty. Rp. Acidi salic. 2,5, Euresoli 5,0, Liquor carb. detrg. 15,0, B. naphtoli 5,5, Ol. hergamottae 1,0, Spir. vini 80% 200,00. M. D. S. wcierać szmatką płócienną w skórę na głowie na godzinę przed snem.

W krainie baśni i słońca.

Któż z nas nie marzył, aby choć raz w życiu zobaczyć Wschód, tę krainę baśni i słońca, słynącą z pięknych kobiet, wspaniałych ogrodów, arcydzieł sztuki i przepychu, który stał się już nawet przysłowiowym. Wysmukłe wieże minaretów, wspaniałe wnętrza meczetów i różnorodna roślinność wabią ku sobie turystów z całego świata. Jednych ciągnie Wschód, jako kolebka kultury, innych jako miejsce męczeństwa i śmierci Chrystusa Pana, innych wreszcie pociągają zalane słońcem wąskie i kręte uliczki miast wschodnich, pełne jakiegoś tajemniczego uroku, lub złocące się gaje pomarańczowe i cytrynowe.



Akropolis.

Jednem słowem, poznać Wschód pragnie chyba każdy człowiek w Polsce. Do niedawna jednak odbycie wycieczki w te strony połączone było z wielkiemi niewygodami i kosztami, wobec braku bezpośrednich połączeń. Obecnie, dzięki uruchomieniu przez Polskie Transatlantyckie Towarzystwo Okrętowe „Gdynia—Ameryka" nowej linji polsko-palestyńskiej, wycieczki na Wschód nie będą się niczem różniły pod względem fatygi od popularnych już wycieczek do krajów skandynawskich, Anglji, Holandji itp.

Wygodne, komfortowo urządzone statki, przewozić będą pasażerów polskich z portu w Constanzy do Jaffy, zawijając po drodze do Konstantynopola, Haify i Pireusa. Do Constanzy zaś kursować będą z Polski bezpośrednie, specjalne pociągi pospieszne. Polska obsługa statków, polska kuchnia, oraz wyjątkowo serdeczny i wesoły nastrój towarzyski, panujący na wszystkich wycieczkach morskich Linji Gdynia—Ameryka, gwarantują podróżom na Wschód dużą popularność w naszem społeczeństwie.

DZIADEK KARNAWAŁ — Szarada aktualna.

(Ul. Wiesław Nowicki, czł. Warsz. Kl. Szar.).

Osiem drogą raz dziad stary. Wzdychał!... aż mu drżały bary —
więc się **siedem** nim zlitowałem i w ten sposób zapytałem:
— „Dziadku biedny, dziadku miły, gdzieżeś podział zdrowie? siły?
„Wszak niedawno na zabawie ty młodzieńcem byłeś prawie!"
Dziaduś postać swą prostuje — więc już dobry temat czuję —
i do baru wnet go proszę, myśląc: „Pewnie to ogłoszę!"
On mi wdzięcznie się ukłonił (nawet trochę się zapłonił),
razem ze mną śmiało wchodzi i po sali okiem wodzi...
Mając towarzystwo miłe — **trzy-dziesiąte** zamówiłem.
On je wnet ze smakiem zjada i zaczyna opowiadać:
— „Gdy przychodzę na świat Boży, wszyscy wstają, nawet chorzy
na Sylwestra się zbierają, mnie ze wszech stron oglądają,
dziewięć-siedem wszystko chwalą i oddają w ręce balom.
A tych różnych balów paka, z dziecka — czyni wnet junaka —
i ani się obejrzałem, jak się wnet młodzieńcem stałem.
który jest na ich usługi, śliczny, jak **pół sześć-wspak drugi.**
Słyszysz, jak gadają ludzie o tych balach, o ich trudzie —
gdy gra była stawki warta i **wspak jedenasta-czwarta,**
bo tak piękne dekoracje, tańce, stroje i kolacje,
takie cudne toalety, w które stroją się kobiety —
mogą dać nam tak wspaniałe tylko nasze sławne bale!
A lokajem tych mądrali, którzy bale urządzali,
jestem ja, bo w czoła pocie biorę udział w tej robocie.
A czy myślisz, że mi płacą coś za trud mój? Po co? na co?
I po **sześć-dziesiątym** wielkim, otrzymałem... co?... Serdelki!...
Oto wdzięczność tych waszeci! Mnie już gryzie ten **wspak-trzeci,**
więc z tęsknotą czekam tego **raz-czwartego** i **szóstego.**
I gdy przyjdzie o dwunastej **Dziewięć-dziesięć-jedenasty,**
wtedy całe me zmartwienie chętnie składam mu w kieszenie!
Niech się martwi, wszak on młody, więc mu nie wyrządzę szkody, —
bo z **czwór-pięć-szóstego** pracy śmieją się młodzieńcy tacy!...
Teraz znasz już moje dzieje i wiesz, czemu się starzeję!"
Dziewięć długiej tej przemowie **dziewięć-osiem** dziadek sobie.
Gdy wyszedłem zamyślony z mojej knajpki ulubionej,
sześć-czwór *) słońca już znikała, a noc nad dniem górę brała.
Już audycji **pierwszy-drugi!** Zaś dla Państwa na usługi
ma szarada. Rozwiążecie — to... nagrodę dostaniecie!

*) Szósta = czwarta.

REBUS.

(Rebus, ul. Cz. Kaczyńska, czł. Warsz. Kl. Szar.).



Za rozwiązanie powyższych dwu zadań, redakcja „Światowida" przeznacza

TRZY NAGRODY.

Pierwsza zł. 20.—, druga zł. 10.—, trzecia prenumerata miesięczna „Światowida".

Rozwiązanie należy nadsyłać (najpóźniej do dnia 3 marca 1934 wraz z załączonym kuponem.

Trafne rozwiązanie zagadek z Nr. 5 nadesłali

Wład. Wojtczakowa, Ozorków; Józef Maziarz, Ozorków; Bol. Kurowski, Warszawa; Jan Maziarz, Ozorków; W. Tyblewski, Poznań; Adam Borowicz, Poznań; W. Kur.., Gdynia; Z. Kopaczówna, Marcinkowo; Lilli Slosecka, Inowrocław; Bogusia Mendralówna, Rzeszów; Juljan Kowal, Stołpce; St. Beśka, Stołpce; M. Kluf, Piotrków Tryb.; W. Kamińska, Grudziądz; Józef Kozłowski, Rawa Ruska; Bol. Jurczyk, Krynica; Justyna Krasnodębska, Seroczyn siedl.; inż. Marjan Wysocki, Tatarów; Edward Skwarc, Częstochowa; Wł. Łokietek, Mińsk Maz.; Stefan Żelazowski, Busko; Irena Senze, Żychlin; Zb. Ganszer, Warszawa; Cz. Kozłowski, Warszawa; Wład. Gajowa, Poznań; H. Kruczaczoła, Puławy; W. Siuta, Kołomyja; H. Ławrentjewowa, Poznań; St. Pawłowski, Tarnów; F. Sirkisowa, Zduńska Wola; J. Taczanowski, Czerwonawieś; Jerzy Bielesz, Kraków; Lona Miłowska, Poznań; Edm. Miłowski, Poznań; Dorota Herbstmanówna, Warszawa; Marja Zeglandowa, Poznań; K. Kasprzycki, Bydgoszcz; dr. H. Opielińska, Środa; St. Kanwiszer, Dąbrowa G.; L. Kifrowska, Poznań; Kaz. Figurowa, Kraków; W. Weisło, Kraków; Józef Kudyk, Kraków; Wład. Jędrys, Kraków; Edward Czulak, Kraków; N. Bauerowa, Kraków; „Pik 20"; „Bebe", Słonim; M. Gawryleni, Baranowicze; H. Cieślikówna, Kraków; Czytelnia T. S. L., Węgierska Górka; Karol Suchanek, Węgierska Górka; Jan Badura, Szopienice; Marja Strubel, Warszawa; Aleks. Kawański, Warszawa; M. Malinowski, Warszawa; Adam Piwowarczyk, Borysław; M. Piwowarczykowa, Borysław; Jawna Kowalska, Warszawa; **kpt. Alojzy Majerowicz, Rzeszów (20 zł.)**; Jerzy Stępień, Łódź; W. Seroczyński, Kraśnik; kpt. Hauschild, Nowy Targ; Leonard Kobylarz, Katowice; „Wilnianin", Dubno; J. Tyblewska, Poznań; B. Kasperski, Poznań; Leon Pacholczyk, Sieradz; Maryla Poćwiardowska, Toruń; Tadeusz Jabłoński, Zimna Woda; M. Adamska, Tomaszów; L. Glaszmidt, Warszawa; Włodz. Hoffmann, Warszawa; Henryk Mosurski, Kraków; Stanisław Perkowski, Wolbrom; Ed. Podobiński, Lwów; Alojzy Damec, Leszczyny; Kazimierz Kornaszewski, Inowrocław; Eug. Petrynowski, Kutno; M. Sosnkowska, Tarnopol; Sz. Rybczyk, Rzeszów; M. Sipowiczówna, Łuniniec; Kaz. Szeliga, Rawicz; „Marta", Lwów; Franc. Petryk, Jaworzno; M. Hirschenfeldowa, Węgrów; M. Bilwinówna, Lwów; J. Klima, Kraków; Wład. Wójcik, Bronowice Wielkie; Jan Gernand, Kraków; M. Szczyrbakówna, Kraków; Viva Berbecka, Warszawa; J. Kremer, Zaleszczyki; Z. Tietz, Warszawa; T. Sobecki, Poznań; Roma Schützowa, Poznań; Tadeusz Fijaś, Warszawa; inż. J. Modrzejewski, Lublin; por. Bron. Bubnicki, Kraków; Lola Dąbkówna, Kraków; **Natalja Pawełczyk, Łódź (zł. 10.—)**; Aleks. Cwynar, Kraków; Zofja Lasocka, Warszawa; Janina Dobrowolska, Toruń; J. Jasiński, Oświęcim; B. Ramułtowa, Jeżów; Ludwik Kulawski, Żywiec; L. Pulchort, Żywiec; M. Szewiakowa, Wilno; S. Kuzniecowa, Wilno; H. Ułanowska, Włochy; Z. Trószyńska, Warszawa; Z. Pieracki, Wilno; Marjan Musiałowicz, Poznań; I. Emich, Warszawa; Wł. Jankowski, Żywiec; Ewa Brzozowska, Warszawa; dr. L. Kaenowa, Warszawa; St. Kurzawiński, Gocławek; W. Suchodolski, Kraków; L. Sasówna, Kraków; Ir. Chojnacka, Mińsk Maz.; Kaz. Marcinkowski, Zagnańsk; Zb. Zapiór, Kraków; M. Sowińsko, Bieżanów; Zb. Kanas, Bieżanów; Tadeusz Janyst, Łódź; Halina Andzińska, Warszawa; „Mateusz Blagier", Łódź; Józef Czołba, Poznań; Jar. Gilewicz, Warszawa; „Leliwa III"; Roman Gumiński, Zalesie; Katarzyna Hołdawańska, Pruszków; Zofja Makarewiczówna, Włodawa; **Muszka Propper, Sanok, (prenumerata miesięczna Światowida" od 1—31. III. 1934)**; Ignacy Ascher, Sanok; Janina Zaleska, Lwów; Ludwik Jurkiewicz, Lwów; Franc. Izdebski, Zagórz; St. Chudziński, Wronki; E. Rozenberżanka, Brzeziny; L. Pogoda, Jaworzno; M. Kubiczowa, Poznań; Nowacka, Poznań; dr. W. Niekraszewicz, Warszawa; inż. Z. Słowikowski, Warszawa; „Maryśka z Pohulanki"; W. Rytko, Poznań; Jan Obtułowicz, Żywiec; Jerzy Wyganowski, Wejherowo; A. Pankiewicz, Tarnów; H. Seelenfreund, Warszawa; Julja Osińska, Mińsk Maz.; St. Kornaszewski, Inowrocław; K. Maciejowska, Dąbrówka Mała; Jan Cudny, Wołonin; Jerzy Sass, Krzeszowice; Piotr Paul, Szamotuły; B. Rubczak, Warszawa; Marjan Taras, Stryj; Anna Loeglerowa, Lwów; Nata Marczewska, Warszawa; Stan. Bona, Nowemiasto; W. Dmowska, Warszawa; St. Maciejczyk, Mysłowice; Stan. Musiał, Długoszyn; J. Kuczmierczyk, Mysłowice; Z. Czaykowska, Szczodrowo; J. Ochońska, Zakopane; J. Zapiór, Kraków.

Nagrody otrzymali pp.: Alojzy Majerowicz, Rzeszów (zł. 20), Natalja Pawełczyk, Łódź (10 zł.) i Muszka Propper, Sanok (prenumerata miesięczna „Światowida" od 1—31 III. 1934 r.).

Nagrody pieniężne Redakcja „Światowida" prześle niebawem.

Rozwiązanie z Nr. 5.

I. Kryzys szaleje na świecie.
II. A ludzie szaleją na balach.

Chcesz budować — to oddaj się w ręce instytucji o podłożu ideologicznem. Taką jest T. B. O." w Gdyni.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

WPAN T. W. Tak jest, scenarjusz konkursowy może być przeróbką z powieści, lecz oczywiście za autoryzacją ze strony autora powieści.

„BOROWIAK". 1) Sąd konkursowy poprosi uczestników konkursu o nadesłanie expose filmowego drogą ogłoszeń w „Światowidzie". 2) Zaznaczanie numerami pojedyńczych aktów i scen w expose filmowem nie jeste konieczne. 3) Otrzymaliśmy Pański projekt scenarjusza bez koperty zawierającej nazwisko i adres. (Punkt 2-gi Warunków Konkursu).

Z WŁOCŁAWKA.



W stolicy Kujaw w Włocławku odbyła się zabawa regjonalna p. t. „Zapusty kujawskie", która zgromadziła w salonach wioślarskich 1.000 osób. Na zdjęciu uczestnicy zabawy z p. wojew. warszawskim inż. Stanisławem Twardo, protektorem, oraz starościną Murmyłłową, przewodniczącą Komitetu.

LIGA RUMUŃSKO-POLSKA W GALACU.



W Galacu, największym porcie naddunajskim w Rumunji, odbyły się dwie imponujące manifestacje przyjaźni rumuńsko-polskiej, w czasie których założono Ligę rumuńsko-polską, mającą na celu zacieśnienie węzłów przyjaźni pomiędzy obu krajami. Inicjatorem tej Ligi jest profesor Mardare. Na zdjęciu widzimy członków Ligi z prezesem p. Petrescu, wiceprez. Mardare, p. Kliszczyńskim, Duninem, Niederhofferem i kpt. Theodosiu na czele.

ŚWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65.
Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9. Tel. 208-63 i 234-65.
Numer konta P. K. O. w Krakowie 401.200 — w Warszawie 140.725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus") — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus"), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Prenumerata kwartalna zł. 6.50. Zagranicą zł. 9.50.
Prenumerata miesięczna zł. 2.20. Zagranicą zł. 3.20.
Wydawca i naczelny redaktor: MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH.
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego" w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

TRAGICZNE ZAPUSTY W WIEDNIU.

